

OLGA TOKARCZUK

Anna In w grobowcach świata



THE
NOBEL
PRIZE
•
2018



OLGA TOKARCZUK

Anna In
w grobowcach
świata

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

1. Miasto
2. Podróż
3. Grobowce
4. Zejście
5. Siostra
6. Pomoc
7. Ojcowie
8. Kochankowie, fryzjerzy i kucharze
9. Hamam. Opowieść Anny Enhudu
10. Rikszarz
11. Szklarnie i inspekty
12. Groźba
13. Muchy

14. Wyjście z grobowców

15. Sztuka negocjacji

16. Złe sny

17. Ogrodnik pojmany

18. Kryzys

19. Zamiana

20. me

21. Inanna

22. Piasek

Od autorki

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK

Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, ANETA TKACZYK

Skład i łamanie: Infomarket

Projekt okładki i stron tytułowych: manufaktura | manufaktu-ar.com

Na okładce wykorzystano rycinę przedstawiającą wieżę Babel, z: *Encyclopédie des sciences, des arts et des métiers*. Planches Supplémentaires, 1777.

© Copyright by Olga Tokarczuk

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015

Wydanie pierwsze

Kraków 2006

ISBN 978-83-08-05817-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 430 00 96

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Miasto naprawdę istnieje, to miasto istnieje –
myśmy tam mieszkali.
Miasto Ibru istnieje – myśmy tam mieszkali.*

(TEKST Z TABLICZEK KLINOWYCH)

Miasto

Miasto stoi na ruinach, pod miastem jest świat grobowców. Nie było takiej siły, żeby ruiny rozebrać, zanim przystąpiono do jego budowy. Dlatego miasto uniosło się na metalowych filarach, na ogromnych, pustych w środku kolumnach, czasem ażurowych, czasem pełnych klatek schodowych i szybów wind. Trwało to wiele lat, tysiące lat; tam, gdzie stal zetlała, tam, gdzie rdza nadtrawiła spojenia, stawiano podpory, drutowano dziury, teraz obrosło ziemię żelazną grzybnią, wciąż rośnie, celując stelażami w dalekie słońce i księżyc.

Gwiazdom te budowle są obojętne. Gwiazdy są obojętne. Mrugają z hukiem, który grzęźnie i schnie w kosmosie. Mają kamienne powieki.

Świat składa się z punktów widzenia, ja jestem jednym z nich. Będę opowiadać, opowiadać o nich; istoty takie jak oni nie potrafią same mówić za siebie, o mało nie umarły przez to milczenie.

Nie obchodzi mnie czas, tyle już razy wywiódł nas w pole. W języku, w którym piszę, przeszłość i przyszłość różnią się tylko jedną samogłoską. „E” przechodzi w „y”, i brzmi to jak zawołanie.

Podróż

Najpierw zeskakuje walizka – zgrabnie, miękko ląduje na metalowym podeście, jej płaskie stopki mlaskają o podłogę. Potem za walizką schodzą ja, Nina Szubur, ja każda, która opowiadam, i w końcu – ona, Anna In. Walizka truchta i ustawia się tuż pod jej dłonią. Anna In popycha ją lekko i razem idziemy do wyjścia.

– Coś jest nie tak – mówi Anna In.

Zatrzymuje się i sięga do kieszeni po drżący obrazek; to mapa podróży. Porównuje widok oglądany przed sobą z obrazem na plakietce: nie trzeba być mistrzem w zabawie „Znajdź dziesięć szczegółów, którymi różnią się dwa obrazki”, żeby zauważyć rozbieżności. Przy ruchomych schodach, które prowadzą w górę do wind, nie ma czerwonego walca z napisem „Śmieci”. Anna In zatrzymuje się niezdeterminowana; walizka kuca. W końcu i Anna In siada na podłodze, obejmuje ramionami kolana i czeka. I ja z nią, kilka metrów dalej, podpieram ścianę. Nie śmiem pytać, ale się niepokoję. Nie podoba mi się ta wyprawa.

Opuściłyśmy dom w środku przygotowań do festynu, zostawiłyśmy usypaną w stożek mąkę, a w niej żółte oka jajek. Wystarczyłoby kilka ruchów ręką, żeby zagnieść ciasto. Zostawiłyśmy rzucone na łóżko świąteczne ubrania, odświeżone sukienki, odkręconą szminkę, puszek zanurzony w pudrze. W telewizji leciał film – nie doczekałyśmy końca. Rachunki na stole, niepodpisane, niezapłacone. Listki herbaty w czajniczku, woda ledwie zdjęta z ognia, gorąca, rozpalona – teraz pewnie stygnie, rozczarowana. Bo Anna In nagle zbladła, potrząsnęła głową, nadśluchiwała, jakby próbowała szerzej otworzyć uszy. Tak właśnie powiedziała – „otworzyć uszy”. Co się wtedy usłyszy, co? – pytałam. Wybrała swoją najlepszą sukienkę, obwiesiła się biżuterią, najpiękniejszą.

Wzięła wszystkie amulety, zrobiła makijaż. W końcu mapę, ten hologram; nie wiem, skąd ją ma.

Mijają nas pospieszni podróżni, nikt nie zwraca uwagi na dwie kobiety. Widać, że każdy z nich porusza się w swoim czasie – zapewne wykupili różne abonamenty – jedni śmigają tak, że ich twarze rozmywają się w nieczytelną wstęgę, inni wloką się, odkrywając bezwstydnie wszystkie szczegóły fizjonomii. Tym właśnie Anna In przygląda się z dołu, jak dziecko. Wiem, ona to lubi – patrzeć na ludzi. Są krusi i żyją bardzo krótko; ledwie się czegoś nauczą, a już zapominają; ledwie pochwycą sens, a już popadają w demencję. Mijają ją obojętnie, przyzwyczaiła się do tego; może jej nie widzą, gdy tak kuca pod ścianą. Jest tłok. Mają torby i plecaki, zrobili zakupy. Ich myśli są o krok przed nimi, ułożone w punktach, listy zakupów i prac do wykonania; dymki w komiksie.

W głąb miasta nie dochodzą słoneczne promienie, z biegiem lat, w miarę budowania kolejnych pięter nasilała się jego alergia na słońce. Zastępują je białe jarzeniowe lampy i kolorowe neony. Dlatego wszyscy tutaj mamy blade twarze tatuowane światłem posiekanyymi cieniami stelaży. Cień skanuje nasze ciała z uwagą, kiedyś w końcu postawi nam diagnozę.

Między podróżnymi trakcjami wiszą wielkie platformy na ogrodach, które miejscy ogrodnicy przywożą na kółkach i instalują w powietrzu. Rozkładają je jak kramy i zaraz zbiegają się do nich ludzie – za niewygórowaną cenę będą mogli ostrożnie spacerować po metalowych ścieżkach, żeby nie podeptać roślin. Dzieci jeżdżą rowerkami po pochylniach asekurowane przez długie ramiona lin-nianiek.

W końcu – jest! Widzimy sprzątacza w śmiesznej czapce z anteną, wygląda jak mrówka. Ustawia czerwony kosz na śmieci dokładnie w tym miejscu, w jakim przewidział to obrazek. Potem czyściciel znika, przebierając kółeczkami. Anna In używa tej migotliwej mapy przy każdej zmianie windy, żeby upewnić się, iż czas jest właściwy i miejsce dogodne.

– Dokąd my idziemy, co to za wyprawa? – pytam ją, pytam Annę In.
Ale ona wzrusza ramionami.

– Nie martw się – mówi. – Zobaczysz.

O, tak, znam takie odpowiedzi. Zawsze robi, co chce, nikomu się nie tłumaczy, przyzwyczaiłam się. Jedyne, co mi pozostaje, to iść za nią kilka kroków w tyle, jest dla mnie za szybka; patrzeć na jej smukłą postać, na jej włosy splecione w wiele warkoczy. Widzieć, jak wymija ludzi. Otwierać jej drzwi, żeby niczego nie dotykała, dość mam marudnych gadających furtek, onieśmielonych szklanek, poręczy, które nagle przeciągają się i ziewają. Nawet bilet do windy, wieloprzejazdowy, będzie chciał mieć coś do powiedzenia, gdy ona go dotknie.

Teraz dobrze, jeden obraz zgadza się z drugim, hologram drży jeszcze bardziej, chichocze i cieszy się po swojemu z tej zgodności światów, jakby sam ją stworzył. Anna In, gdy tylko czegoś dotknie, gdy na dłużej przyłoży swoje piękne dłonie – ożywia każdy przedmiot. Lepiej, żeby niczego nie dotykała, już i tak mamy kłopot z walizką. Gdy tylko coś zostanie obdarzone choć niewielką świadomością, od razu zaczyna mieć bardzo wysokie mniemanie o sobie. Tak to już jest.

Ktoś taki jak Anna In, In Anna, widzi wszystko żywe; żywy jest każdy trybik świata, najmniejszy przedmiot; tylko my, ci mniejsi, nie potrafimy tak patrzeć. Nam takie spojrzenie zdarza się od czasu do czasu i łatwo ulega zapomnieniu; to dlatego jesteśmy śmiertelni. Od urodzenia przyzwyczajamy się do martwoty. Gdybyśmy umieli ujrzeć świat jako żywy, od początku do końca, nie potrafilibyśmy umrzeć, nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli.

Rozkład wind wyświetla się na ścianie – przypomina wielką płataninę linii, przypomina tkankę nerwową, neurony i wiązki nerwów. Nie jest się tutaj niczym więcej niż drobnym impulsem, przemijającą osobliwością przestrzeni, warto o tym pamiętać.

Gdy z Anną In czekamy w milczeniu na kolejną przesiadkę, na zmianę skomplikowanych połączeń, dotykam jej dłoni – w istocie jest to ponowione pytanie: Dlaczego? Co ją tam ciągnie, dlaczego tam idzie? Czy nie ma tutaj wszystkiego, co można mieć? Nie zmienia się, nie umiera,

porusza się wolna w układzie współrzędnych miasta – w bok, w przód i w tył, w górę i w dół, w głąb i ku powierzchni. Potrafi wychodzić za miasto. Tam prostuje kości. Patrzę w jej oczy, pytam i czekam na odpowiedź. Mruga do mnie wesoło – co ma znaczyć, że wie, co robi. Ale mnie serce ściska się z niepokoju.

Windy ze świstem podążają w różnych kierunkach. Na jednym z węzłów Anna In musi czekać, aż któryś z przechodniów (nie wiadomo który) rzuci na ziemię zmięty papierek. Tak zobaczyła na swojej mapie. Każdy moment, każda drobina czasu ma tam swoje miejsce. Dopiero wtedy rusza. Cieszy się walizka, łaskoczą się sprzączki.

Jedziemy chyba ukośnie w dół, tego jednak nie wiemy, w windzie są tylko lustra. Okna nie pokazałyby więcej – tylko węzły trakcji, nieskończone tunele. Splątane kable, transformatory, małe windy towarowe, pocztowe rury, wszechświat, który składa się z linii, z atomów materii nanizanych na sznury czasu. Potem skręcamy pod kątem prostym, to się czuje, bo winda szarpie i zgrzyta.

Widzę ją w lustrze, widzę Annę In. Jest wysoka i smukła, ma ciemną skórę, oliwkową; ma długie włosy splecione w setki warkoczy, są jak ogon komety. Ubrała się odświętnie: ma rogatą czapkę, zabawną, wkłada ją tylko na wielkie okazje. Na nagiej szyi zapięła ciężki naszyjnik z niebieskich kamieni. I ma błyszczące klejnoty na piersi, a na palcu wielki pierścień, wygląda jak kastet, chyba złoty, czystej próby. Ma srebrny stanik, czy też kamizelkę, na jaskrawej sukience wyszywanej w dobronie, miniaturowe, oswojone lewki, tak kochane przez ludzi w mieście. W ręku trzyma kompas i mapę. Lubię jej dłonie – całe w tatuażach, drobny misterny wzór oplata jej palce i przeguby węzowym ruchem. Dzięki małym diodom skrzy się i migocze. Oczy wymalowała grafitową szminką, więc wydają się duże i ciemne, błyszczą. To modna i droga szminka, wszędzie ją reklamują.

Ja obok. Sięgam jej zaledwie do ramienia, przy niej jestem mała i drobna, jej krok to moje dwa. Przy jej skórze moja jest blada, ludzka; jej opalizuje i lśni, moja chłonie mdłe światło miasta. Piękną jest kobietą Anna In, In Anna. Znam ją od zawsze. Pamiętam jej wszystkie szaleństwa, wszystkie podróże i awantury. Gdy ma randki, usuwam się w cień, siadam gdzieś przy barze i spokojnie czekam. Mieszkam w jej domu, piję z jej

kieliszków. Ja, Nina Szubur, ja, która opowiadam, ja każda. Zawsze jednak gdy zaczyna mi się wydawać, że znam ją lepiej niż siebie, ona robi coś, czego nie rozumiem.

Tak jest i teraz.

– Dokąd my jedziemy, Anno In, gdzie my, do cholery, jedziemy?

Martwi mnie kierunek – w dół, zawsze w dół. Zjechałyśmy już do najniższych poziomów, a ona jeszcze nie ma dość.

I znowu przesiadka. Tym razem winda skrzypi i trzeszczy, jest stara, rzadko używana; drzwi nie domykają się i widzę przez szparę puste hale pocięte pionowymi kreskami metalowych kolumn, na nich napisy świecą farbą; znaki, których nie rozumiem. Winda przez chwilę jedzie poziomo, i w końcu prosto w dół. Teraz odliczanie jest ujemne, od zera w dół, do tyłu, jakby cofał się czas. Zjeżdżamy pod ziemię. Zaczynam rozumieć, chwytam ją za rękę.

– Gdyby mi się coś stało, wiesz, co masz robić. – Oddaje mi dotknięcie; a ono wzbudza dreszcz.

Cierpnie mi na chwilę skóra, jej dotyk zamienia się w fale, opłukuje mnie.

– Wiesz, co masz robić. Gdybym nie wróciła przez trzy dni, pójdziesz do moich ojców po pomoc, powiesz im, co zaszło, dokładnie. Oni znajdą radę, więc się nie martw. – Wysyła mi uspokajający uśmiech.

Grobowce

Wreszcie podróż dobiega końca. Długie, smutne, zarośnięte brudem chodniki prowadzą nas do wielkich, opustoszałych od lat garaży, których niebo stanowi płatanina rur i kabli, wątle klatki schodowe ściągają nas w dół ku zapomnianym, wygaszonym kotłowniom. Idziemy szybkim krokiem, ona sunie, ja drepczę, ledwo za nią nadążam. Dzwonią klejnoty na jej piersi, jej wysoka postać rzuca szary cień w jarzeniowym świetle, smukły jak trzcina.

Fosforyzujące strzałki prowadzą ją po pochyłych platformach, kruszą się pod moją dłońią skorodowane poręcze. Trzeba umieć utrzymać tutaj równowagę, każdy nieostrożny krok grozi upadkiem w wilgotną otchłań. Pod miastem znajdują się cysterny, wielkie puste zbiorniki, w których trzymano kiedyś wodę; teraz woda wyciekła, wysączyło ją miasto, wyszło.

Rozumiem, ja, Nina Szubur, ja jej przyjaciółka, ja każda, która opowiadam, teraz dopiero zaczynam pojmować cel naszej wyprawy. Chwytam ją za rękę, za fałdy sukienki. Proszę. Walizka piszczy, hologram w jej ręku trzepocze się w panice, kolorowa ryba, wyciągnięta z wody, już przeczuwa swój koniec.

Oto jest brama, raczej drzwi, raczej furtka, wejście do obory, dwie stalowe płyty z przerdzewiałą klamką, dawno nieruszone. Odrzwia zarosły szarym mchem, szczecina, suchą trawą. Tu mieszka siostra Anny In, jej bliźniacza siostra. Pusto, nikt tutaj nie przychodzi z własnej woli; gwar wind został daleko w tyle i głosy ucichły, nie dochodzą tu wibracje rozedrganych strun miasta. Nikt nie odwiedza siostry Anny In dobrowolnie, dlatego podziemny wiatr nawiał pod bramę suchych patyczków i śmieci. Główne wejście dla klientów jest gdzie indziej, o wiele

większe. Drzwi obrotowe kręcą się zawsze w jedną stronę, w recepcji wydaje się klucze o nieskończonych numerach.

– Ona mnie wzywa – mówi Anna In. Mówi, że od kilku dni słyszy jej głos, odbity i zwielokrotniony przez szkielet miasta, przez labirynty własnego ucha, młot na kowadle dźwięczy jak dzwon. Głos jest zniekształcony; nie może odróżnić słów. Potrząsa głową, ale głos nie daje jej spokoju. To jest lament, to jest wyzwanie, raz krzyk, a potem tylko szept.

– Czego chce? – pytam ostrożnie, chcąc ukryć przerażenie.

– Nie wiem. To okrzyki bólu. Lament.

Dopiero teraz się przyznaje – wydaje się, że siostra śle jej wiadomość, ale grobowce są poza zasięgiem każdej sieci, żadna poczta nie ma odwagi obsługiwać tego adresu, żadne kable nie wplatają grobowców w swoje komunikacyjne warkocze. A jej siostra, siostra Anny In, In Anny, płacze w podziemiach.

Ja jednak wiem swoje: To niedobrze, lepiej jest nie pamiętać o tej siostrze, lepiej ją pominąć w planach podróży. Zaproszenia wrzucić do kosza, zignorować. Nie myśleć. Czego może chcieć, czym ona kusi.

– To zwykły sen. Splątanie synaps. Echa impulsów nerwowych, zwykła iluzja – mówię. – Daj spokój, Anno In. Wróćmy na górę, zaczyna się festyn, w mieście rozwieszają lampiony, w lodówkach chłodzi się szampan, rosną drożdżowe placki. O, słysząc stąd windy, zawróćmy.

Palnęłam głupstwo, ona nie da się już odwieść od tego zamiaru. Patrzy na mnie nieobecna – już tam jest, już przestąpiła próg.

– Weź się w garść, moja Nino Szubur, nie lamentuj, wiem, co robię.

Chciałabym w to wierzyć, chciałabym. Siostry muszą czuć przecież jakąś więź, powinny się rozumieć, obejmowały się kiedyś czule w brzuchu matki, przez dziewięć miesięcy miały otwarte oczy, patrzyły na siebie z bliska; znają się dobrze. Jedna drugiej ssła nos, tak były blisko. Trzymały się

w kleszczach, tańczyły powoli w płodowych wodach, w tym ciemnym i ciepłym oceanie. Mózgi przędły wspólne nici, tkwały z niego świat.

Potem, gdy nadszedł czas rozwiązania, ta, która wyszła pierwsza, dostała więcej. Przeznaczono dla niej domy śmierci, lamente, ból, ciemność i kurz. Zabrała najważniejsze – fundament świata, jego wilgotne piwniczne jaskinie, wnętrza ludzkiego ciała, ostateczny wyrok. Wieczność, niepodległość, sanacja, dokumenty zwalniające od działania czasu, chłodna neutralność, przywilej nieistnienia na mapach świata. Paszporty pisane niewidzialnym pismem, pieczętki z wody. Lecz w końcu każdy odwiedzi ten kraj.

Przez dziurę w ziemi ta siostra wczołgała się do swojego nowego domu i tam jest do dziś. Nie pieściła jej żadna matka, nie tulił żaden ojciec. Nie bawiła się z dziewczynkami w dom, w gotowanie, choć mogłaby je przebić w pomysłach na dania z piasku, błota i kurzu. Nie wiązała na głowie wstążek, nie przymierzała za dużych pantofli swojej matki, nie oglądała się ciekawie za chłopcami. Nie dane jej były żadne wesele ani żadna noc poślubna. Miała kochanków, a jakże, ale który zniósłby jej towarzystwo w tej ponurej podziemnej garsonierze. Odchodzili, znużeni jej pożądaniem, którego nikt jeszcze nie zaspokoił, choć wielu próbowało. Niektórych udało jej się zatrzymać. Jednych trzyma w formalinie, drugich wypchała suchą trawą. Dlatego teraz, gdy Anna In uderza pięścią w bramę, wiem, że ogarnia ją strach. Tamta jej nienawidzi.

Wiem, co mam zrobić, wiem. Mam poruszyć cały świat, mam stanąć na głowie i przewrócić miasto do góry nogami, mam poprosić o pomoc. Gdyby jej się coś stało. Ale co ma się stać Annie In, skoro wie, co robi, skoro jest silna, władcza, zawsze młoda.

Zapada cisza, i panuje długo, widocznie pociemniałe dźwiska bramy starannie przeżuć muszą każdy decybel. Wreszcie słychać stamtąd leniwe kroki. W bramie robi się szpara, z której wraz z zapachem stęchlizny wydobywają się słabe słowa:

– Kto tu?

Anna In próbuje stopą zablokować drzwi, chce wepchnąć się do środka.

– Jestem Anna In, przychodzę z miasta.

Lecz opór z tamtej strony okazuje się silniejszy, niż można pomyśleć.

– Jeżeli rzeczywiście jesteś jakąś Anną In z miasta, jak mówisz, to co tu robisz? Odejdź stąd. Tu się nie przychodzi ot, tak sobie. Pogrzebu nie będzie – odpowiada przestraszony jej śmiałością głos.

– Pogrzebu? A kto umarł?

– Jej kolejny mąż.

– Nie przychodzę na pogrzeb – mówi Anna In.

Słyszysz przez szparę stłumiony chichot.

– A są jeszcze jakieś inne powody? Tu się przychodzi tylko na pogrzeb, własny!

– Przyszłam do siostry, wpuszczaj! – złości się Anna In.

Z tamtej strony zapada milczenie. W końcu głos powraca, zaskoczony.

– Jesteś jej siostrą, siostrą naszej pani?

– Wpuść mnie – prosi Anna In.

Głos każe jej czekać, a sam wraca do miejsca, z którego wyszedł: są to usta odźwiernego, jego gardło i płuca; i tam zamiera, zdziwiony.

Za to Neti, ów odźwierny, po chwili rusza w głąb ciemnego tunelu. Jego tłuste i poszarzałe od wiecznego mroku ciało pokrywają robione na drutach swetry. Oczko w lewo, oczko w prawo. Widać tylko głowę – łysą i lśniąca od wszechobecnej wilgoci – oraz stopy, spuchnięte od wiecznego reumatyzmu. To choroba zawodowa odźwiernych. Idąc, mruczy do siebie:

– Niebywałe, wprost niebywałe.

Zejsście

Nieprzyjemnie jest przynosić wieści mojej pani. Nie jest przyjemnie stanąć przed nią, trudno wydobyć z siebie głos. Ja, Neti, kupa kości obciążniętych wyliniałą włóczką, ja każdy, który opowiadam, drzę, gdy się do niej zbliżam. Wokół niej zawsze jest kilka stopni zimniej. Sprawdziłem to. Nauczyłem się już mowy jej syczących elektrycznych włosów, które czesze ze złością, bez ustanku. Muszę spuścić wzrok. Nie jest to miły widok, ta moja pani.

– Przyszła jakaś persona, która twierdzi, że jest twoją siostrą – mówię obojętnie; staram się nie wkładać w to żadnego uczucia.

Ruch grzebienia zamiera. Włosy na chwilę się uspokajają. Ale wargi ciemnieją, stają się czarne jak smoła. Zły to dla mnie znak.

– Jak wygląda? – słyszę jej głos.

Staram się przypomnieć sobie dokładnie to, co przez chwilę widziałem przez szparę w drzwiach. Moja pamięć jest słaba, przywykła do mroku, do plam cieni, hurtowa raczej niż detaliczna. Jak wygląda? To był dobry widok, ciepły, suchy, jasny. W sam raz na mój reumatyzm.

– Ma na głowie dziwaczną czapkę, rogatą, która przykrywa jej włosy splecione w setki warkoczy, ma naszyjnik z niebieskich kamieni... – I co jeszcze, co jeszcze, myślę biedny. Tutaj nikt się tak nie stroi. Co mam jeszcze powiedzieć, nigdy nie potrafię odróżnić spódnicy od sukienki. – Ma jakieś błyszczące klejnoty na piersi, a na palcu wielki pierścion, chyba złoty, czystej próby, tak wielki, że mogłaby nim zabić. Ma srebrny stanik, czy też kamizelkę, na jaskrawej sukience.

Szukam w głowie odpowiednich słów, nigdy nie potrafię nazwać części garderoby. Sukienka, spódnica, stanik, serdak, surdut, frak... inwencja

istot z miasta jest niewyczerpana. Wystarczyłoby jednak, żeby cała odzież nazywała się po prostu „sweter”. – W ręku trzyma chyba kompas i obrazkową mapę, a dłonie ma całe w tatuażach. – Od siebie dodaję po chwili: – Niezbyt to kobiece... Oczy wymalowała modną grafitową szminką. Przystojna kobieta, młoda i zdrowa – mówię, myśląc jednak, że to początek kłopotów.

Słyszę, jak grzebień ponawia swój ruch i włosy gniewnie trzaskają. Ale głos, jej głos jest dziwnie spokojny: – Wróc i wpuść ją, podnieś zasuwę, niech wejdzie, skoro tak jej na tym zależy.

Nic nie mogłoby mnie bardziej zdziwić niż ta odpowiedź. Spodziewałbym się prędzej ataku gniewu, podziemnej burzy, trzęsienia ziemi. Jej wrzasku, gdy się wścieka, jej ostrych paznokci. Na jedno mgnienie oka, na mrugnięcie powieki, podnoszę ze zdziwienia wzrok, ale zaraz go spuszczam – nieprzyjemny widok. Czy się przesłyszałem?

Nie, wcale. Powtarza wyraźnie:

– Niech wejdzie, ale każ jej zostawić walizkę na zewnątrz i zdejmij jej wszystkie klejnoty, jeden po drugim, i ma zmyć makijaż, i zdjąć z siebie te śmieci. To nie bal ani pokaz mody. Ma stanąć tutaj naga. Taka, jaką ją znam.

– Zimno – mówię tylko, bo wolę to słowo od innych. Służy mi za „tak”. Ja nie komentuję, nigdy nie mam zdania. Stopy pluszczą w płytkiej, zimnej wodzie, mlaskają o kamienne posadzki, które nigdy nie widziały słońca i z tęsknoty za nim omszały. Jak ja. Ale cóż kościom po słońcu. Przecież nie zakwitną.

Uchylam bramę i z zewnątrz wpada trochę światła. Razi moje oczy. Stoi tam ta panna, czeka. Powtarzam jej słowa mojej pani, dokładnie, mechanicznie, jestem automatycznym odzwierciedleniem o zbolących kościach, jest mi wszystko jedno. Nie mam serca, nie mam żalu. W kościach nie ma żadnego współczucia. Nie będę się w to angażował.

– Czy ucieszyła się z mojego przyjścia? – pyta Anna In. Lecz nie mam zamiaru jej odpowiadać. Co miałbym jej powiedzieć. Czy się ucieszyła? Dobrze sobie.

Gdy jej stopa przestępuje próg, gdy wsuwa się w ciemność jak w czarną skarpetę, przez chwilę mam ochotę złapać tę dziewczynę, wykręcić jej ręce i wyrzucić stąd precz. Krzyknąć: Won! Poszła stąd! Ale umiem się opanować, mam już swoje lata.

Pytam tylko, nie licząc specjalnie na żadną odpowiedź:

– Czy wiesz, co robisz?

– Wiem – mówi.

To mi się podoba. Czasem przychodzą tu tacy wyczerpani, zmęczeni śmiertelnie, oklapli. Dobijają się, pewnie myślą, że to sanatorium. Jest tu dla nich malutkie piéterko, słodka kwarantanna, nim dojdą do siebie. Mam dość awantur. Jestem urzędnikiem, wykonuję polecenia, pracuję tu na zleconą wieczność.

– Czy ucieszyła się z mojego przyjścia? – pyta znowu ta kobieta, gdy ruszamy w głąb.

Szepczę z naganą:

– Tu nie wolno ci nic mówić, zapomnij o słowach. Nie wolno ci odtąd powiedzieć ni słowa, zresztą gadanie na nic się tu nie zda. Będzie się tylko echem odbijać od ścian. Słowa wrócą pokiereszowane, jak z wojny, słowa inwalidzi. Gdybyśmy mogli sobie tutaj mówić tak swobodnie jak wy tam, na górze, wszystko byłoby inne.

Prowadzę dziewczynę szerokim korytarzem, przez który biegną zardzewiałe tory. Idziemy po kostki w wodzie, stąd moje bóleści. Anna In ukradkiem mi się przygląda. I czuję jej wzrok. Jest ciepły, niech patrzy. Żaden wstyd, że w istocie jestem kupą nadgryzionych reumatyzmem kości, które trzymają się razem dzięki szydełkowym swetrom. Upadek grozi mi całkowitą rozsypką, dlatego uważnie stawiam bose stopy na śliskim dnie.

Przy żelaznych skrzypiących drzwiach każę jej zdjąć czapkę i rzucam ją w wodę. Zresztą bez niej wygląda lepiej. Chce wprawdzie zaprotestować, ale milknie w ostatniej chwili. W porządku, zrozumiała – tu się nic nie mówi. Potem idziemy w dół, aż docieramy do drewnianych, na wpół przegniłych drzwi, tu każę jej zostawić naszyjnik. Oglądam go jeszcze przed wrzuceniem w wodę, ale jego wartość nie przedstawia się tu dobrze. Kamień zaraz zblednie, a sznurki przegniją. Miejska biżuteria! Tak samo

te wielkie świecące klejnoty – jakie światło odbijają, czym się będą mienić? Nie pasują tutaj, moja pani nie lubi ozdóbek. Żadnej czerwieni czy różu, nie znosi też błękitu. Lubi za to czarny i szary, i zgniłozielony. Interesuje się rzeźbą – ceni stalagmity. Lubi muzykę, zwłaszcza tę monotonną, opartą na jednym dźwięku, który trwa jednostajnie, raz ciszej, raz głośniej, cały koncert, kilka dni, czasem trzy miesiące. To ją uspokaja. Z malarstwa – jeden kolor – czarny, ze znawstwem kontempluje jego odcienie. Nie, żadnych błyskotek.

Daleko jeszcze? – chciałaby pewnie zapytać Anna In. Ale nie odpowiem. Co miałbym jej powiedzieć?

Gdy przechodzimy przez czwarte drzwi, zardzewiałe i połatane drutem, zabieram jej pierścień i uzbrajam nim metalowe palce furty.

Jeszcze ta kamizelka, wskazuję ją palcem przy piątych drzwiach, które są niskie, jak wejście dla kotów. Trzeba się będzie przecisnąć przez nie na czworakach. Ona jest zwinna, po drugiej stronie posłusznie rozpina haftki stanika. Srebrna przędza zetlała już od wilgoci, podziemna rdza ima się nawet metali szlachetnych. Wieszam stanik na gwoździu w ścianie. Wygląda jak skóra ściągnięta z baranka, kłęb brudnej wełny.

Może ją zawrócić? Ta myśl powraca, błąka mi się po głowie, nabija w mózgu siniaki. Może ją zatrzymać? Podnieść głowę i spojrzeć w jej oczy, wciąż jeszcze żywe. Czy wiesz, co robisz? – zapytać ponownie. Może nie zrozumiała tego prostego pytania? Lecz poprawiam tylko pasek, ściskam się nim mocniej i gdy przechodzimy przez bramę, odbieram jej te miejskie gadzety: kompas i mapę.

– Nie będą ci już potrzebne.

Zresztą mapa i tak już oślepla. Litery rozpuściły się w wilgoci i zamieniły w plamy. Taki to pożytek z ludzkich wynalazków.

Oto i cysterny, więc jeszcze kawałek. Idziemy po przegniłych pomostach nad ściemniałą wodą, niech się jej wydaje, że chodzimy w kółko. Z dna wyrastają mokre kolumny pokryte mchem. Miejscami woda świeci na czerwono, spod jej ospałej powierzchni wydobywają się skądś bąble powietrza, to podwodna czkawka. Wskazuję je palcem – kolumny. Na omszałej powierzchni ona pewnie rozpozna twarz swojej siostry, jest

zawsze taka sama – kamienna i obrzmiała; nawet marmur puchnie w tej podziemnej wodzie, na szczęście oczy rzeźb są zamknięte, inaczej każdy przechodzień zamieniłby się w kamień zmrożony ich chłodem, zamieniłby się w mokrą kolumnę. Choć jakie to ma znaczenie właśnie tutaj? Żadne. Lepiej być zresztą nieczułym kamieniem niż żywym, żywym bez nadziei na powrót.

Odsuwałem ten moment, ale nie ma wyjścia. To jest siódma brama. A siedem, moja panno, siedem znaczy wszystko.

– Nie może cię zobaczyć takiej, jak teraz, w tej barwnej szmateczce – mówię.

Rozumie. Ściąga ją bez słowa, suknia tonie, będą się teraz w nią stroić podziemne ślepe strumienie. Potem końcem swojego włóczkowego rękawa zamoczonego w wodzie zmywam jej makijaż.

Ja, Neti, kupa kości, ja każdy, który opowiadam, patrzę ukradkiem na jej nagie ciało, przyglądam się gładkiej, seledynowej, perłowej skórze.

– Niebywałe, niebywałe – szepczę.

Siostra

Siostry podchodzą do siebie blisko, lustrują swoje twarze, wymieniają pocałunki. Nie będą nic mówić – pewnie znają swoje myśli. Usta jednej są suche i ciepłe, drugiej – zimne i wilgotne, porośnięte mchem kamienie. Pomyśleć by można, że są dwiema stronami tej samej monety – orzeł i reszka. Ta jaśniejsza to orzeł. A moja – to reszka, Pani Druga Strona. Moja dobra landlady zdejmuje ciemne okulary i patrzy w oczy siostry. Każdy przybysz z góry pod tym wzrokiem kamienieje. Ale teraz – nic. Nic się nie dzieje, na siostrę jej wzrok nie działa. Jakżeby miał działać, skoro wpatrywały się w siebie przez dziewięć miesięcy, nawet nie mrugnawszy okiem? Sędziowie wzdychają z podziwem. To jednak prawda, to musi być siostra, ta prawdziwa, z góry.

Dobrała sobie szczególne towarzystwo ta moja pani – psy i koty, świnię i miniaturowe krowy, genetycznie zmienione na bardziej poręczne, praktyczne, lisy, gęsi i kury. Jedne mają na grzbietach zgrabny uchwyt, inne da się spakować kilkoma ruchami. Kurczaki na przykład składają się z samych udek. I ja, ochmistrz tego dworu, zmęczony nad życie.

To one są sędziami przysięgłymi w naszej instytucji; to one po naradzie oznajmiają wyrok. Ja tu tylko jestem za dozorcę, drzwi otwieram, drzwi zamykam, podsądnych sprowadzam. Sędziowie! – myślę – a niewiele rozumieją. Stępieli od mroku i chłodu. Cały czas powtarzają to samo. Nigdy się nie zdarzyło, by ktoś był niewinny. Z powodu wszędobylskiej wody ich łapy poprzerastały błonami, gdzieś pod sierścią i piór przebijają łuski, nogi ptaków podobne są raczej do płetw niż pazurów. Owce mają już małe skrzela, mogłyby paść się na podwodnych pastwiskach.

Tych czujnych sędziów bardzo niepokoi gość z góry, suchy jak trzcina. Spoglądają po sobie, jej doradcy – psy o wielkich oczach, rasa rzadka,

podziemna, stworzona raz na zawsze; nie muszą się już rozmnażać. Łypią na Annę In. Podziemne psy północy, takie co nigdy nie szczekają. Nie skomlą, nie machają ogonem. Mają oczy jak spodki. Pamiętają wszystko, co zobaczyły.

Naga kobieta, choć zziębnięta, to jakoś beczelnie jasna, gładka. Dlaczego tu przyszła ta kobieta z góry, ta biała pieczarka z miasta, czego chce, chcieliby pewnie zapytać sędziowie. Czy wie, jaka ją czeka za to kara? Czy wie, że stąd nie ma wyjścia, że już umarła, ta głupia istota? Gdyby mówiły. Wiem, co je niepokoi, bo i dla mnie teraz staje się jasne to podobieństwo sióstr. Ja, Neti, ja odźwierny, ja każdy, który opowiadam, przysięgam, że mogłyby sobie służyć za lustra, gdyby tę jasną trochę zmaltrretować, przybrudzić, obłożyć mułem, poczernić jej wargi i palce...

Pies na dwóch nogach, w liberii zapinanej na dwa rzędy sutek, serwuje im popołudniową herbatę, mętny płyn z podziemnych rzek, który paruje niecierpliwie, zanim pozwoli się przełknąć. Oto piasek do osłody. Oto ciasteczka z wyrobionej gliny, posypane kurzem.

Rozmowa jest niesłyszalna dla postronnych świadków, takich jak ja. Woźni i skrybowie nie mieszają się w wyroki. Mogę się tylko domyślać, o czym mówią, której teraz kolej. Zresztą co mnie to obchodzi. Siadam w kącie i łatam swój sweter, tyle mu zawdzięczam, że nie muszę się zbierać codziennie kosteczka po kosteczce. Widzę sędziów, ruch ich głów, w lewo, w prawo. Widocznie ciekawy to mecz, cały czas jest remis.

Anna In podnosi ciężką filizankę do ust i markuje picie. Uduje, że gryzie gliniane ciasteczko. Co za miły wieczór. Moja pani, moja mroczna landlady, odkrywa przed tą drugą całe swoje bogactwo – nawy i krużganki budowane wiekami przez najlepszych architektów: ruchy tektoniczne i wodę. Mokre wyniosłe ołtarze, stoły ofiarne, granit zastygły w kształty bez twarzy i bez imion; ludzie, zwierzęta, bogowie – ma tu towarzystwo. Nagie ściany, na których zacieki rysują piękne akwarele, brunatne i szare; rzeźby słonych stalagmitów, systemy sal, gdzie na sufitach niewprawną ręką zmarli malują uparcie rozgwieżdżone niebo, ale żółta farba z gwiazd łuszczy się i odpada do wody. Kłapią znudzone kroki mieszkańców, ulubiona rozrywka to kręcić się w kółko, po własnych śladach, a na koniec pod wieczór zastygnąć bez ruchu, co za rozkosz. Nikt się tu nie spieszy.

Piękna jest moja pani, landlady. Ją wolę. Wolimy tutaj łagodny mrok niż oślepiające światło słońca, ordynarne, dla hołoty. Wolimy spokojne trwanie. Życie jej nie chciało, więc i ona nie chce życia.

Wielka jest nasza odpowiedzialność, pilnujemy świata, który został stworzony na samym początku. Być tam na górze, ścigać się i walczyć, zakładać rodziny i rodzić, obsiewać pola, budować miasta, kopać kanały – to nie dla nas, tak bym jej powiedział, tej In Annie, Annie In. Każdy, kto ma trochę rozumu, będzie pytał: Po co? Po co to, skoro i tak wszystko się straci? My mamy Nic od razu, od świętego początku, a więc Nic nie tracimy. Dlatego lepsze jest Nic niż jakieś Coś, drodzy miejscy filozofowie. Żadnych traum z dzieciństwa ani żadnych miłości, ani rozczarowań, strat na giełdzie, chorób, ortopedów, telegramów z czarnym paskiem, koszmarów, żadnego poczucia winy, żadnych listów w uściskach wstążki, machania chusteczką.

Nic nam tu nie trzeba, wszystko mamy, a niektórych rzeczy – wyraźnie w nadmiarze: wody, czasu, gliny i kurzu, mroku, rdzy. Czasem z nieznanym mi bliżej powodów wszystko na dole pokrywa się pleśnią, która świeci w ciemnościach i pachnie. Robi się cicho, mój ból ustaje, i moja landlady, Pani Druga Strona, uspokaja się znacznie. Jej ból także mija.

Neti, Neti, popatrz na skorki! – woła wtedy do mnie i oboje uschniętym korzonkiem popychamy te piękne stworzenia do zabawy, niech się z nami bawią. Potem niszczy je moja pani jednym ruchem dłoni.

W ciągu dnia jest dużo pracy, zwłaszcza wtedy, gdy na górze dzieją się historie – ktoś na kogoś napadł, ktoś kogoś obraził. Wtedy się zgłaszają nasi rezydenci. Znam wyraz ich twarzy – zawsze zaskoczony, zawsze wyrażający zdziwienie. „Jak to?”, mówią, lecz na tych dwóch słowach kończy się repertuar ich argumentów. Świat może sobie być chaosem, lecz ta jedna zasada trzyma nas w korbach – nikt stąd nie wrócił. Jedyne porządki. Ta droga ma tylko jeden kierunek. Stara geometria.

Wiem, dlaczego kazała ją rozebrać, w gruncie rzeczy – myślę, łatając mój sweter – obie są takie same. Może ta moja trochę przeszła wilgocią, może nadgryzł ją grzyb, ale pociemniałe wargi i palce też mogą być piękne. Patrzcie – mówi tym samym do nas moja pani, moja ciemna landlady – patrzcie, oto jest ta, która ukradła nam świat.

Więc dlaczego ją wołała, tę siostrę? Czy to był krzyk bólu, czy znowu miała atak? Może chciała pokazać jej męża? Ten ostatni był nawet miły, nawet teraz wygląda przystojnie, zatopiony w pleksi. Ludzki owad w bursztynie, przetrwać może wieki.

Czy one się witają, czy żegnają? Stoją objęte, jedna drugiej zarzuciła rękę na ramiona, przestępują z nogi na nogę. Czy to przyjazny gest, czy wrogi? Taniec? Pewne poruszenie w sędziowskich szeregach, no bo co to znaczy? Jaki podsądny w ten sposób spoufala się z najwyższą instancją? Ta naga z góry próbuje się wyrwać, to ona jest trzymana, a gdy się jej udaje, chce wdrapać się na stół, zająć miejsce siostry. Może liczy na to, że sędziowie wezmą ją za swoją? Że nie zauważą zmiany? Jaka niesmaczna scena, każdy zwykły człowiek, każdy przyszły rezydent ma więcej godności, gdy powtarza to swoje: „Jak to?”.

Strażnicy już wbiegli, rzucają dziewczynę na wilgotną ziemię. Przytrzymują nogi i ręce.

– Winna – mówi moja pani, moja smutna landlady, ze wstrętem ściera z ramion dotyk siostry.

Powinna była powiedzieć to wcześniej, oszczędzić nam wszystkim całego przedstawienia.

Klawiatura zrobiona jest z ptasich kosteczek, to na niej siostra wypisuje wyrok na siostrę. Moja pani, landlady, pisze szybko i sprawnie, używa do tego tylko szóstych palców. Sędziowie muszą mieć wszystko czarno na białym. To jest rutynowy wyrok: wszystko, co masz, co osiągnęłaś i zdobyłaś na górze, wszystko, kim byłaś, każdy dzień, każda minuta – są przeciwko tobie. To dowody winy. Żaden ekspert ich nie podważy. To koniec, procedura skończona, można wietrzyć salę. Jeden z sędziów czyta wyrok skrzeczącym głosem i, niestety, z niesmakiem zauważam ten sam co u innych wyraz twarzy dziewczyny, „Jak to?”. Przykro na to patrzeć.

Każde skrzekliwe słowo sędziego zabija jedną część ciała. Chciałaby oczywiście odwołać się i podważyć wyrok, protestować, zwrócić się o pomoc do trybunału, gdyby jakiś istniał, wyznaczyć inny termin

rozprawy z powodu choroby. Chciałaby przywołać na świadków swoje zasługi, przyjaciół na wysokich stanowiskach. Pospiesznie znaleźć precedensy, błędy w procedurze. W końcu – grozić. Ale język zawsze umiera pierwszy, więc dziewczyna tylko porusza oczami, ale i one za chwilę gasną, jak ekrany. Dopiero potem martwieją ręce, a na końcu, gdy staną wątroba i serce – nogi. Taki jest niechybny koniec ciała. Anna In, In Anna, przewraca się bezradnie u stóp siostry. Ludzki manekin, żaden ktoś.

Moja pani, moja dobra landlady, może w końcu włożyć na powrót okulary. Razi ją i mrok, wołałaby absolutne ciemności. Każe powiesić blade ciało siostry na haku i przygląda mu się zza czarnych nieb okularów. Ciało Anny In będzie kruszeć jak królicza tusza, gnić jak ochłap mięsa.

Odtąd czas na powrót przestaje płynąć w grobowcach świata, zresztą nigdy nie miał tu wiele do powiedzenia.

Pomoc

Trzy dni czekam na wiadomości od niej pod bramą grobowców, ja, Nina Szubur, ja każda, która opowiadam. Całe trzy dni. Przykładam ucho do omszałej bramy, ale z tamtej strony cisza. Wstaję i odchodzę. Siadam na ziemi, patrzę na paznokcie, obgryzam skórki. Wyjadam ostatnie okruszki z kieszeni. Walizka popiskuje, obwąchuje każdy kamień, bawi się patykiem, ale powoli słabnie w niej życie bez dotyku Anny In, In Anny.

Słońce i księżyc wędrują na zmianę po dalekim niebie, ledwie je tu widać. Rzadko pada tutaj słoneczny blask, brzydki, posiekany, rumsztyk ze światła, sznyty. Księżyc stopniał, stał się obrzynkiem paznokcia. Wreszcie zniknął. Lecz wydaje mi się, że słyszę jego czarne światło, odbija się ono od stalowych konstrukcji i dźwięczy mi w uszach: dziwna to muzyka, kilka tonów, które przechodzą w szelest, szmer. Myszy przystają w swoich wędrówkach i patrzą na mnie zdziwione – co tutaj robi ta drobna kobieta, ten człowiek, na kogo czeka? Nawet one to wiedzą – kto tam wszedł, już nie wyjdzie, wszak to oczywiste, więc czego się spodziewa ta biedna istota. Plotkują między sobą, kumoszki. Rzucam im okruszki, cieszą się ze zdobyczy. Oglądają ją dokładnie.

Rysuję na ziemi linie, gram w klasy. Piekło, czyściec, niebo, potem obrót i z powrotem. Popychany stopą kamień odwiedza różne krainy. Mogłam zatrzymać Annę In, mogłam ją przekonać, żeby nie prowokowała losu. Czy rzeczywiście mogłam? Ale czy ktoś może zatrzymać Annę In, czy komuś się udało? Rebeliantka, wojowniczką, zawsze strzela w dziesiątkę. Pani największego serca.

Ja Nina Szubur martwię się, obgryzam paznokcie, lakier się z nich złuszczył, nie dbam o to. W mieszkaniu mam jej zdjęcia wycięte z gazety,

wklejam je w albumy. Niektóre już wyblakły, niektóre są jeszcze sprzed moich narodzin. Jaka ona zmienna. Raz jest małą dziewczynką, twarz ujęta w ramę z warkoczy, duże białe zęby, piegi. Ale już na następnym zdjęciu to prawdziwa panna o czerwonych wargach, twarde piersi ściśnięte gorsetem. A tutaj znowu – chyba utyla – to kobieta w pełni kształtów, piękne są jej duże biodra. Błysk flesza posrebrza jej włosy. Anna In tu, Anna In tam.

Oto – z Ogrodnikiem. Znają się od dziecka, chociaż lepiej byłoby powiedzieć od zawsze, bo to ich dzieciństwo jest krótkie, raczej niewygodne. Jego wybrała, jest jej. Lubi stać koło niego, gdy on pielęgnuje rozsady, gdy ma ręce ubabrane ziemią, wtedy koło niego kuca. Lecz ją, prawdę mówiąc, jego praca nudzi.

Ogrodnicy są mistrzami przyjemności. A ten, ten jest szczególny. Gdy się zjawia, cieszy się cała dzielnica, cały poziom miasta. Jak wędrowny sztukmistrz rozkłada na placu swój magiczny stolik. Królik w kapeluszu, żółte kurczę, które wyskakuje z pękniętej skorupki. Dzieci porzucają hulajnogi i rowerki, biegną, krzycząc: Ogrodnik, ogrodnik przyjechał, z ogrodem na kółkach!

O, to będzie dobra partia dla Anny In, In Anny. Ona jest młodą dziewczyną, która trzyma się spódnicy matki. Zawstydzą ją zalotnik, nie wie, o co mu chodzi. Siostry wprowadziły mówić, ale zasypiała, zanim dochodziły do jakichś konkluzji. Albo milkły w pół zdania, bo akurat ktoś wchodził. Ale z czasem wszystko samo się wyjaśnia. Nie ma co strzepić języka. Ciało nabrzmiewa, stara sukienka już się nie dopina na piersiach i pasek na biodra stał się za krótki.

Miłość zajmuje im całkiem sporo czasu. Wymaga wyrzeczeń, wymaga wysiłku. Trzeba na przykład długo spacerować, dziennie zrobić kilka kilometrów. Pić nawzajem ze swoich kubków, oczekuje się prezentów, listów, klótni, nocnych rozstań, żeby rano zaraz spotkać się na powrót. Lecz teraz Anna In, In Anna, jest młodą kobietą i pragnie mężczyzny. Dostaje w posagu małżeńskie łóżko, łóżko z drzewa, które rosło w jej ogrodzie, gdy była młodą dziewczyną. Jest wiosna, kwitną kwiaty w doniczkach, zieleni się trawa między płytami chodników. Mizerne gołębie drepczą wkoło, strosząc swoje pióra. Zawsze lepiej jest we dwoje

niż samemu. Teraz każde zdanie należy zaczynać od „zawsze”. Całe miasto bawi się na ich weselu. Miasto – to jej posag. Wesele napędza podaż i popyt. Rosną dzięki ich weselu wskaźniki produkcji. Zwyżkują ceny spółek, zwłaszcza zaś tych, które produkują lampiony, chorągiewki, konfetti i fajerwerki. Wzrasta znacznie zatrudnienie w manufakturach ciasteczek i cukierków w złotkach. Jaka piękna to para – ona i Ogrodnik. Gdy suną głównym chodnikiem miasta, chciałoby się przed nimi uklęknąć.

Ale „zawsze” się kończy. Czas nie lubi dawać się rozciągać w nieskończoność. Lubi małe kroki, tykanie zegarków, drobne krople, detale.

– Zwolnij mnie, siostró – mówi Ogrodnik. – Tyle jest pracy wokół, tyle skrzynek domaga się ziemi, pelargoniom w doniczkach przerosły korzenie. Będę ci ojcem, a ty mi matką, będziemy dbać o siebie, ale pora już iść do swych prac. Ty masz swoje i ja mam swoje. Ja jestem ja, ty jesteś ty.

Ma rację. Tyle pracy wokół. Tyle do zrobienia ma Anna In, In Anna. Doglądać miasta. Odpowiadać na listy, łagodzić konflikty. Być przy porodach, dzieci odprowadzać do szkół. Tkać, rzeźbić, pisać. Tworzyć biblioteki. Walczyć z wrogami. Świątować z przyjaciółmi. Wspierać słabych, szukać domów bezdomnym. Wszyscy w mieście ją znają, lgną do niej. Gdyby miało jej się coś stać (czy to możliwe, czy to możliwe?, myślę z niepokojem), tłumy będą się buntować, może nawet wybuchną zamieszki. Oddajcie nam naszą Annę In, In Annę! Wyjdą na ulice, zrobią demonstrację i zaczną domagać się jej powrotu, jakżeby inaczej.

Kiedy będę już starą kobietą, ona się nie zmieni. Gdy wreszcie umrę, ona weźmie sobie inną przyjaciółkę, jakąś inną mnie. Trudno po śmierci być zazdrosną. Czy mam na cokolwiek wpływ, ja człowiek, ja każda, która słowa nawleka na sznurek, która drepcze niepewnie obok zdarzeń, która opowiada.

Istota taka jak Anna In, In Anna, porusza się tylko do przodu, jej pomyłki wytyczają nowe trajektorie zdarzeń; nie ma błędu. Nie może być błędu w tym, co robi Anna In.

Nie ma czasu do stracenia. Wytrzymaj oczy, Nino Szubur, mówię sobie,
wstań i sprowadź pomoc.

Ojcowie

Windy wiozą mnie teraz w przeciwnym kierunku. Przedtem jechałyśmy w dół, ja się wznoszę. Podróż trwa długo, bo ojcowie Anny In mieszkają wysoko, w najlepszych sektorach miasta, tam gdzie jest najwięcej powietrza i światła. Na każdym poziomie, podczas każdej przesiadki, żąda się ode mnie kolejnych przepustek i kart, spisuje właściwe numery. Ludzie w kurtkach ze skóry zaglądają w moje kieszenie, czytają treść biletów do wind, żądają identyfikacyjnych numerów. Recytuję je z głowy.

Stoję w zatłoczonych wagonach, obijam się o ludzkie łokcie, drzwi z sykiem wypływają mnie do kolejnych przesiadek. Jakieś małe dziecko przy ruchomych schodach częstuje mnie waflem, zjadam go z wdzięcznością. Na platformach piję wodę z automatów. Ma smak żelaza i rdzy, jak wszystko.

Im wyżej, tym bardziej rumiani są ludzie, mają czystsze ręce, a woda smaczniejsza. Im bliżej słońca, tym więcej wiszących publicznych ogródków, zawsze stoi przed nimi kolejka, a bilety sprzedaje się tylko na kwadrans.

W domu ojców Anny In zawsze panuje przeciąg, dlatego czerwone płaszcze ich pracowników są w wiecznym ruchu, niespokojne i hałaśliwe. Lecz przeciąg to przecież luksus, znak, że się jest blisko świeżego powietrza. Kamienne figury służą jako przyciski do stert dokumentów. Wiatr szczytuje numery z książek telefonicznych, potem po nocy wydzwania i dyszy w słuchawki. Powiewy układają poły płaszczy dramatycznie, ale nigdy nie na dłużej. Panuje tu gwar, posłańcy na kółkach przemieszczają się razem z informacjami. Informacje korzystają z posłańców, żeby przemieszczać się swobodnie po biurowym królestwie –

są najbardziej wolnymi duchami w tym świecie. Można im zazdrościć. Niejeden z tych biednych, szarych ludzi z samego dołu chciałby się kiedyś odrodzić jako informacja. Dać się nosić, nagrywać, chronić w miękkich foliach, podróżować w kopertach, dawać się dla relaksu zamieniać w niewidzialne impulsy i sunąć kablami.

Potężni i bogaci są ojcowie Anny In. W ich ogromnym domu ze szkła, w domu, którego anteny na dachu skrobią spody chmur, którego wielkie obiektywy okien nie pomina żadnego szczegółu w mieście, dyskretnie kręci się służba, setki sprzątaczy utrzymują biura w stanie doskonałym, parapetowi ogrodnicy hodują na oknach miniaturowe ogrody, a smak lilipucich owoców odbiera zmysły takim jak ja. Małe fontanny nawilżają powietrze, pluskają się w nich złote rybki z prawdziwego złota. W klatkach z najcieńszego plastiku trzepoczą motyle – ze wzoru na ich skrzydłach w wolnych chwilach układa się puzzle. W trawiastych dywanach buszują żółwie – ekrany na ich skorupach pokazują notowania miejskiej giełdy.

Lśniącooki służący przyspawany do cichobieżnych płóz prowadzi mnie do gabinetów, gdzie ojcowie zwykle zażywają pracy po obiedzie. Tu też panuje przeciąg, wiatr kartkuje porządnie ułożone na stołach książki. Ojcowie siedzą przy swoich biurkach. Jedno oddalone jest od drugiego o kilka godzin drogi, tak wielka jest ich firma.

Najbliżej jest ten, który dowodzi jednym z ważniejszych działów – Encyklopedycznym Nadzorem Konfiguracji Intelektualnych. Czekam na audiencję. Sekretarka, już na pół automat, jej młode ciało przyrosło do krzesła, patrzy na mnie z miłym uśmiechem, nie mrugając. Gdy wreszcie zostaje wezwana, widzę go na fotelu – już wprawdzie wycofał się z interesu i jest na emeryturze, ale z racji zasług przyznano mu honorowy etat. Korzysta z niego skwapliwie, nie chce wyjść z wprawy. Ma nieobecna minę. Widzę, że jest stary i zgrzybiały, tak, w istocie, podobny do grzyba. Jego miękkie ciało przerasta sprzęty. Siedział w jednym miejscu zbyt długo. Mógłby uważać. Staję przed nim, sięgam mu zaledwie do pasa. Wyłuszczam sprawę po kolei i krótko, bo wiem, że takie są tu przepisy. Każdy petent ma do dyspozycji dwa zdania.

– Twoja córka, Anna In, potrzebuje pomocy. Zeszła nieopatrznie na sam dół, w odwiedzin do siostry, i nie wróciła – mówię.

Oczekuję jego gwałtownej reakcji. Wydaje mi się, że wystrzeliłam w jego stronę dwie kule armatnie, nie dwa zdania.

– Nieopatrznie – powtarza tamten niewygodne słowo. Obraca je w swoich władczych ustach. Jego język spuchł od formowania wykrzykników w rozkazach. – Wszystko, co ona robi, robi nieopatrznie. Dość mam tego słowa. Wszyscy tłumaczą się nieuwagą. Rzeczy należy czynić opatrnie. Ktoś, kto działa bez zastanowienia, musi za to płacić. Rozumne działanie równa się porządek języka. To jest gramatyka bytu.

Jego ciało porusza się niespokojnie, faluje.

– Trzeba konsekwentnie odmieniać życie przez przypadki, pilnować końcówek. A jak się nie jest pewnym, sprawdzić w słownikach, pisali je mędracy. Najpierw pomyśleć, potem działać. Gdy wybiera się w podróż, trzeba mieć bilet powrotny, zarezerwować miejsce w windzie, wykupić ubezpieczenie – mówi ze złością. – Co sobie myślisz? Nie mam swojego przedstawicielstwa w tym kraju na dole, nie mam tam ambasady ani nawet agentów. Mam się tam sam udać? – Śmieje się ironicznie. – Jestem niemożliwie zajęty... I zajmujący – dodaje po chwili zastanowienia. – Bierny i czynny imiesłów, bardzo zgrabnie to wymyśliłem. – Wraca do tematu: – Zbyt dużo nam ona przysparza kłopotów. Od dawna. Właściwie powiem szczerze, że ona jest kłopotliwa jak brzydkie słowo. – Próbuje dać przykład, międli w ustach przekleństwo, ale rezygnuje. – Nie mogę jej pomóc – mówi wreszcie.

Dziękuję grzecznie za te dwadzieścia dwa zdania. Ale to jeszcze nie koniec, gdy jestem już u drzwi, ojciec nagle zaperza się, drżą mu policzki. Usiłuje podnieść się na nogi, wspierając na biurku.

– Każda żywa istota musi umrzeć, mówi prawo. Wykładnia jest prosta i logiczna. „Każdy”: to znaczy, że jest to kwantyfikator ogólny i bezwarunkowy. „Żywa”, czyli taka, która czuje i podlega pewnej ze światem interakcji, energetycznej wymianie. „Istota”: słowo to znaczy „byt”, chociaż ogranicza się do bytu żywego; istota, można powiedzieć, jest bytem czującym, to znaczy takim, któremu nieobce jest to, co dzieje się w otaczającym ją środowisku. „Musi”: słowo to jest wyrazem trudnym, ale zrozumiałym ogólnie, jest to bowiem imperatyw, odnosi się do odwiecznie

istniejącego prawa, na nim z założenia opierają się wszelkie aksjomaty; określa pewną bezwarunkową i niedyskutowalną konieczność. „Umrzeć” znaczy to, jak wiesz, zakończyć aktywność zwaną potocznie „życiem”, oznacza kres biologicznego procesu. Umrzeć, moja droga, znaczy ulec powszechnemu prawu rozpadu, wrócić do składników pierwszych. W sensie psychologicznym – ciągnie – znaczy to opuścić miasto na zawsze.

Och, dość mam już przemądrzałych tyrad, przestaję liczyć jego drogocenne słowa. Straciłam swój czas. Mówić do kogoś, kto nie rozumie, to próbować otworzyć zamek żdźbłem trawy, to kroić chleb gałązką bazylii, wkręcać żarówkę w ptasie gniazdo, wkładać dyskietkę między dwa kamienie. Daremnie.

Wstaję i słyszę z jego ust kategoryczny rozkaz: „Wyprowadzić!”. Wykrzyknik jest tak mocny, że uderza mnie w czoło, nabija guza.

Ja, Nina Szubur, ja każda, ja, która opowiadam, wlokę się znowu, noga za nogą, do drugiego ojca. W upale i spiekocie, wśród rozgrzanych platform, które marszczą powietrze w małe fałdki, w kruche plisowanki, przez szybkobieżne chodniki i ruchome schody, w górę i w dół, przez zapory automatycznych drzwi rozsuwających się bezszelestnie przede mną jak usta, które chciałyby mnie połknąć, ale nie należą do żadnego ciała, do żadnego brzucha.

Aż pod wieczór, gdy powietrze chłodnieje i gdy zapada łaskawy mrok, w niezdecydowanym świetle miasta widzę pewny siebie neon. To biuro drugiego ojca, chłodny przybytek, wąskie nawy z ołtarzykami ekranów oplatają miasto.

Staję przed biurkiem drugiego ojca, młodszego – moczy nogi w płynącym przez biuro aromatycznym strumieniu, robi notatki w notesie z moleskinową okładką. Notes omdlewa z rozkoszy, rozkłada szeroko kartki. Ojciec zapisuje w nim złote myśli. Gdy mnie widzi, wstaje radośnie.

Zaczynam swoje:

– Twoja córka potrzebuje pomocy. Zeszła na sam dół, w odwiedzin do siostry, i nie wróciła – pomijam słowo „nieopatrzenie”; tego się już nauczyłam.

Ruch ołówka ustaje. Ostrze rysika celuje w kropkę nad „i”.

– Czy zostawiła skan? – pyta troskliwie ojciec, ale już widzę, że z nim nie pogadam. Jego wzrok ucieka gdzieś w przestworza. – Pracujemy tutaj nad pewnym projektem. Chcielibyśmy polepszyć ciężką dolę ludzi. Myślimy nad specjalnym przedłużeniem życia. Skanowałoby się człowieka na płytkę i wgrywało do, hm, powiedzmy, raję. Mógłbym ją od razu umieścić w niebie, w tym najlepszym, czterogwiazdkowym, dla najlepszych klientów.

– Ona potrzebuje pomocy, trzeba ją stamtąd wyciągnąć – odpowiadam. – Gdyby jej się coś stało, mówiła, mam się do was zwrócić o pomoc. Będziecie wiedzieć, co robić.

Unosi brwi, bawi się ołówkiem.

– Co można zrobić? – zastanawia się, patrząc w szklany sufit. – Niestety to koniec historii. Wielka szkoda, bo dobrze się zapowiadała. Co za głupota, co za brak wyobraźni. Miała tu wszystko, dostała, na co miała ochotę, a czego nie dostała, to wzięła sobie sama, niewdzięcznica. Kiedy ktoś sam robi sobie kłopoty, to czy powinien liczyć na innych? Powiedz, moja dobra kobieto – pyta, lecz wcale na żadną odpowiedź nie czeka. – Ciągłe idę za nią i naprawiam jej błędy, zbieram za nią trupy. Jestem już za stary, żeby coś zrobić. Staram się utrzymać w porządku ludzkie zasoby. Tyram jak wół.

Och, to prawda, tyra jak wół. Czasem nawet przypomina byka.

Jego wielkie laboratorium nazywa się Ekwiwalent. Ekwiwalent – Niech Każdy Istnieje. Wymyślił je, kiedy ludzie zaczęli się buntować. Uśmierzył tym rewolucję. Teraz każdy za życia może się zeskanować i zapisać na dysku, trwa to cztery sekundy. Potem Ekwiwalent wgrywa go do raję.

– Zaiste – mówi – piękny to program. Wskazuje mi ręką na okna, które tutaj pełnią funkcję ekranów. Widać tam ludzi brodzących w trawie wokół pięknych fontann, białe ich koszule są niczym stokrotki, a niebo błękitne i czyste, woda w rzekach słodka. Niech bowiem istnienie będzie tak samo demokratycznie dystrybuowane jak inne dobra. Dlatego od dzieciństwa każdy z mieszkańców miasta płaci składki na swój przyszły żywot, wykupuje abonament (z niewielkimi zniżkami) na wieczność, czyli do końca istnienia przedsiębiorstwa. Ale to jest wieczność. Istnieje wiele innych opcji dla bardziej wybrednych klientów. Są hurysy w mozaikowych wnętrzach wiecznych haremów. Mają jabłczane piersi i biodra o linii

łagodnej jak misy. I hurysowie, wąsaci mężczyźni o wielkich członkach dla spragnionych przyjemności kobiet. Są cysterny z winem, i można go wypić nieskończenie wiele, bo nigdy nie szkodzi. Są fajki wodne napełnione najlepszym haszyszem. Istnieją także nieba zdrowej żywności, w nich środowisko jest tylko w najlepszym gatunku, zawsze naturalne. Na błękitnych polach klienci ćwiczą tai-chi i popijają sok z brzozy. Młodnieją z każdym dniem: za dodatkową opłatą odwraca się dla nich czas, leci teraz na wstecznym biegu. Oferta jest bogata, dla każdego coś się znajdzie.

I są takie raje, w których ludzie mieszkają w przezroczystych kulach, jak żabie zarodki, i podróżują w nich po lądach i morzach, odbijając się od siebie miękko i radośnie; powietrze przepęlnia tam perlisty śmiech. Są raje rodzinne, dla tych wszystkich spragnionych czułości, tam ludzkie rodziny, w czystych ubraniach i o białych zębach, spacerują po fiołkowych wzgórzach. Każdy mówi: „Kocham cię”, i każdy słyszy w odpowiedzi: „Ja też cię kocham”. I to właściwie wystarcza. Zresztą można wybrać sobie opcję zmienną: trochę tego, trochę tego, za dodatkową opłatą, bo podobno to, czego najbardziej boją się ludzie, gdy umierają, to nuda.

– Czy więc zostawiła skan? – pyta powtórnie. – Dałbym jej najlepsze niebo. Byłaby tam boginią, czystą i niewinną. Przechadzałyby się wśród rozmodlonych do niej ludzików, nosiłaby niebieską szatę, cienkimi obcasami rozgniatałyby głowy węzom. Z jej ust sypałyby się kwiaty, płatki róż. A wokół niej tylko alabaster i kość słoniowa. Jadeit i perły.

Chyba się rozmarzył ten nobliwy starzec, bo jego wzrok staje się nieobecny. W końcu milknie, wzruszony własną wizją. Nie udaje mi się ukryć litościwego uśmiechu. To stetryczały palant.

Ja, Nina Szubur, ja jej przyjaciółka, ja jednoosobowa wyprawa ratownicza ruszam w noc. Nie chcą mi pomóc, nawet księżyc wycofał się tchórzliwie. Noc jest całkiem ciemna, a dachy nocą zdradliwe, pełne anten i kabli, małych, śliskich lotnisk i ślepych pasów startowych. Pod nogami przez przezroczyste świetliki widzę nocne życie miasta – wygląda jak żywe ciało, składa się z tętnic komunikacyjnych ciągów i żył szybów windowych, w komórkach ciała mrowi się ludzki rodzaj. Tam, gdzie ktoś umrze, zaraz ktoś się urodzi. Tam, gdzie ktoś się cieszy, zaraz ktoś będzie musiał płakać. Gdzieś się ktoś pokłóci, gdzie indziej będą się godzić. Gdzie się zejdą,

w innym miejscu się zaraz rozstają. Plus znosi się z minusem. Wibruje wielkie rozdęte zero. Efemeryczna Natura Kadry Integrującej trzyma to wszystko w ustalonym żelaznym porządku.

Trzeci ojciec jest mądrym księgowym, zapisuje dane w wirtualnych księgach, zresztą nie musi, wszystko ma w pamięci. Dodaje i odejmuje z szybkością światła. Nigdy nie śpi. Więc gdy ja, Nina Szubur, stoję przed nim nad ranem, tamten już skończył podliczanie nocy.

Przysiadam na małym stołeczku podsuniętym przez lśniącokiego służącego. Zwracam się do ojca i wyluszczam sprawę, tłumiąc łzy. Jestem zmęczona, nie jadłam, osłabłam z rozpacz. Tego muszę przekonać, a jak nie, to kto nam pomoże? Lecz szkoda czasu, Nino Szubur, weź się w garść.

– Twoja córka potrzebuje pomocy. Zeszła na sam dół, w odwiedzin do siostry. I nie wróciła – mówię. – Chociaż ty bądź ludzki, nie pozwól, żeby tam została na zawsze. Nie dopuść, by ciało z twojego ciała pokryło się pleśnią i szlamem, żeby zostało zjedzone przez robaki, nie dopuść, by jej kości z twoich kości zamieniły się w kurz – mówię i ostatnie zdania zmieniają się w szloch. Łzy spływają do środka ciała, filcuja mi serce.

Patrzę z nadzieją w wielką twarz.

Trzeci ojciec zaciąga się dymem, aż wychodzi mu uszami, łzawią jego zmęczone krótkowidzące oczy. Czy jest głuchy, czy ślepy, że nie odpowiada przez tak długi czas, zajęty swoimi myślami? Już jego sekretarki starły z niego kurz – to codzienna toaleta; już wymieniły baterie w liczydłach, już się kończą drukować nowe rubryki, zaraz dostarczą je na stół.

Podobno cierpi na rzadką chorobę – jego mózg imploduje, obrazy wydobywają się do wnętrza jego wielkiego ciała i tam skleją w małe niematerialne światy, właściciel mózgu jest ich nieustannym gościem, objawia się w nich jako duch, sam nie może niczego w nich dotknąć ani się pożywić pokarmem, który stworzył, ani usiąść, ani się położyć. Jest bezdomny sam u siebie. Ta wielokrotna i intensywna obecność go męczy, powoli pozbawia sił.

Zagubiona w tym długim milczeniu, zwracam się więc jeszcze raz do najstarszego ojca, tego, który palcem zaznacza paragrafy w czytanej

buchalteryjnej księdze. Bez końca zlicza w niej cztery zasady i bawi się wymyślonym kodem.

– Proszę cię, ja, Nina Szubur, ja żadna i nieważna, nie pozwól, by twoja córka umarła, nie odbieraj jej nam, znajdź łaskawy paragraf w swoich księgach i wyciągnij Annę In z więzienia grobowców.

Lecz ojciec jest wyraźnie zły, że mu przerwano długą medytację. Mówi:

– Jakimże byłbym księgowym, gdybym sam zmieniał zasady naliczania w trakcie liczenia?

I po kolejnej dłuższej chwili dodaje:

– Anna In zawsze była nierozważna, pragnęła o wiele za dużo jak na jedną małą osobę, nawet boską; wszystkiego było jej mało. Zawsze mieliśmy z nią kłopoty. Zbudowaliśmy piękną, logiczną konstrukcję, która rozwija się sama. Popatrz tylko – mówi do mnie i jednym ruchem ręki rozwija przede mną skomplikowany schemat w kształcie drzewa, gęstego od wektorów i wielokolorowych linii. – Tu masz plankton, a tu jest człowiek. – Wskazuje i pod jego wzrokiem podświetlają się wspomniane przez niego strefy. – Panuje tu piękny hierarchiczny porządek. Jeden zjada drugiego, w ten sposób nie grozi światu tłok. Wszyscy rywalizują ze wszystkimi, to dobra motywacja do tego, by się doskonalić. Wygrywają tylko lepsi, szybsi i bardziej bystrzy, lepiej przystosowani. Kto się zagapi: przepada. Kto ma głupie pomysły: wypada z gry. W ten sposób nie trzeba ciągle ingerować, daje nam to wytchnienie, system doskonali się sam, przeżyją najsilniejsi, najlepiej przystosowani, ci będą mieć szansę replikować się, aż nie powiemy stop. – Pochyliła się nade mną z dobrotliwym uśmiechem. – Świetnie pomyślane. Czy można byłoby wynaleźć coś lepszego? A ona, Anna In, In Anna, nie potrafi dobrze funkcjonować. Ona jest aspołeczna, aboska. To złodziejka i pijaczka, wiem, co mówię. Oszustka, puszczańska i ćpunka. Awanturnica. Zawsze jej mało doświadczeń, czego ona szuka? Po co jej była ta niebezpieczna wycieczka? Nie mogę jej stawiać ponad prawem. Nie ma jej już w moich rubrykach. – Rzuca okiem w papiery. – Tej nocy, jak widzę, została wykreślona, a jej numer identyfikacyjny anulowano. Szkoda, bo jednak ją kochałem, to moje najzdolniejsze dziecko. Przykro mi, moja miła.

Rozumiem, wszystko jest już stracone. Chciałabym potrząsnąć księgowym, ale brak mi sił. Baczne oczy służących śledzą moje ruchy.

– Jesteś ostatnią deską ratunku – mówię cicho.

On znika w kłębach dymu, który płynie po jego biurze jak woda, jak lekka woda.

Kochankowie, fryzjerzy i kucharze

Aksamitnooki służący bierze mnie delikatnie pod ramię i wyprowadza na wielki rozległy, podniebny korytarz. Chyba jest przyzwyczajony do takich bezskutecznych audiencji. Ci, co nic nie załatwili, zawsze wyglądają tak samo – oczy wlepione w jeden punkt, opuszczone ramiona. Nie chcą się ruszyć z miejsca, wraz z nadzieją stracili chęć do ruchu; ważą teraz cztery tony, skamieniali z rozpaczy. Zwraca do mnie swą małą owadzią twarz – bo z pokolenia na pokolenie twarz służących zanika, służącym nie są potrzebne twarze, donoszą najnowsze badania – szepcze ledwie słyszalnym, nienawykłym do formułowania zdań głosem; nie wymaga się pewnie od niego, żeby mówił za dużo:

– Idź do Anny Enhudu, ona zna matkę Anny In, naszej In Anny, mieszka w jej domu, na pewno ci pomoże.

Patrzę na niego zdziwiona; kiedy się mu przyjrzeć z bliska, przypomina nawet człowieka, nie służącego.

– Kim jest Anna Enhudu? – pytam. Nie znam tego nazwiska.

– Ma hamam w środku miasta, każdy ci powie, gdzie to jest.

– Tak, nie pomyślałam o tym. Zapomniałam, że Anna In ma matkę – mówię do niego i dziękuję za pomoc.

– Jak możesz nie pamiętać, że wszyscy mamy matkę, a tylko niektórzy ojca – szepcze z pretensją jego uwsteczniiona twarz.

Ale po drodze, po drodze, gdy poruszam się najszybszym ruchomym chodnikiem, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden adres. Biegnę, potrącam przechodniów, patrzę na mnie ze złością, z wyrzutem: dokąd jej się tak spieszy? To jedyna nadzieja na to, żeby mnie zauważyli i zrobili przejście – potrącić ich, popchnąć, dźgnąć łokciem. Mają słuchawki na

uszech, płyną w swojej muzyce, ale zewsząd i tak słysząc hałas melodii i słów reklam. O tak, deptę im po piętach, następuję na palce. Tym z najbardziej gniewną twarzą mówię:

– Anna In, In Anna, zeszła do podziemi, do grobowców, i nie wróciła.

– Kto? – pytają zniecierpliwieni. – Co?

A potem krzyczą:

– Młoda panno, przecież obowiązują jakieś zasady kultury. Jak chcesz sobie biegać, są od tego boiska. My jesteśmy spokojni obywatele, ciężko pracujemy, a życie to nie zabawa. Zbliża się święto, robimy zakupy, obmyślamy prezenty, chcemy spokoju.

Albo utyskują:

– To cóż, że ktoś poszedł? A co, nie wolno mu było? To wolny kraj. Przecież wróci, a jak nie wróci, to od tego jest policja. Zeszła, mówisz? I nie wróciła, powiadasz? Są specjalne biura zaginionych osób, programy pomocy, chipy i satelity. Są siatki detektywów i tajni agenci. Tam się zwróć, a nam daj spokój.

Słyszę piosenkę i ona podrzuca mi myśl. Znam ją na pamięć, to modny szlagier. Bo piosenka, która rozpycha się w powietrzu, przypomina mi pewne usta – piękne wargi Giga Massa. Obcisłe spodnie opinają jego pośladki, słodkie wybrzuszenia. Jest przystojny jak drzewo, jak młody buk. Ma wszelkie potrzebne koneksje, sama znajomość z nim sprawia, że można się przeprowadzić na wyższe piętra, a pokazanie się w jego towarzystwie zmienia korzystnie oprocentowanie na kontach bankowych. To jej były kochanek, jak wielu. Niech on stanie przed bramą grobowców, niech je rozwali jednym uderzeniem ręki.

Lecz to nie będzie wcale łatwe, dostać się do niego. Wożą go specjalną windą, która przeskakuje z trakcji na trakcję, nie dbając o przepisy ruchu. Ma kuloodporne szyby, a w środku saunę i salę ćwiczeń, by jego piękne mięśnie utrzymać w należytym stanie. Drobne hostessy z jego świty biegną za nim z butelkami olejków; niechże lśni jego ciało, niech pachnie. Gdy idzie, sama ziemia masuje mu stopy.

Nagle staje mi przed nosem riksza, a z nią rikszarz, biały i gładki, jak duch. Z trudem wysapuje słowa.

– Czy ty jesteś Nina Szubur, przyjaciółka Anny In, In Anny?

Potwierdzam, zdziwiona; skąd znają mnie wśród rikszarzy? Podobno mówił mu o mnie jeden służący, a on się dowiedział od innego z samej góry, i już się rozeszło w wozowniach i pralniach, wśród sprzątaczy i czyścicieli trakcji. Że szukam pomocy.

– Proszę wsiadać – mówi mechanicznie. Uśmiechają się jego oczy, nie usta, bo te są przystosowane do dziurkowania biletów.

Dzięki ci, biały rikszarzu, który łamiesz dla mnie przepisy ruchu, który przeskakujesz z chodnika na chodnik, z poziomu na poziom. Przebierasz kółkami, krzeszesz nimi iskry. Nie spuszczaamy z oka ekscentrycznej windy, całej w laurowych liściach, tak że przypomina wielką golonkę. Pędzimy po awaryjnych schodach i ze stukotem wpadamy na skrzyżowania, gdzie policjant zdumiony, jak słup soli, obraca się ze skrzypieniem na zardzewiałym gwincie. Miga rękawiczkami raz czerwono, raz zielono, raz żółto. Popsuliśmy mu szyki. Stracił rytm i już zrobił się korek.

Dobrze jest skorzystać z zamieszania; tam gdzie jest chaos, wiele się może zdarzyć, tego nauczyła mnie Anna In. Skaczę na dziurawy pomost i po kilku schodkach jestem przy drugiej trakcji. Winda stoi w korku. Nie pozna mnie, nie otworzy drzwi, martwię się. Cóż, najwyżej potrzepie mnie prąd. Pukam w okno, jest zaciemnione, widzę tylko własną spoconą twarz.

– To ja, Nina Szubur, otwórz, proszę, ważna sprawa.

Czuję, że winda się waha, w końcu jednak drzwi ustępują z sykiem. Bohater leży na rozkładanym siedzeniu, wygląda na chorego. Gdy wychyla się do mnie i wpada w smugę światła, widzę z przerażeniem, jak bardzo się zmienił. Mój impet opada.

– Dawnośmy się nie widzieli – mówi.

To prawda, dawno. Dowodzi tego skóra na jego twarzy, opuszczone kąciaki ust, siatka zmarszczek. Jego drobne teraz ciało, które zwiędło. Kto ubielił jego włosy, kto przyprószył go popiołem, przygiął do ziemi? Kiedyś podnosił siekierę, która ważyła pół tony. Kiedyś, gdy umarł jego kochany przyjaciel, wytoczył ojcom proces o bezzasadność śmierci, o absurdalne prawo. Ale przegrał w pierwszej instancji. Waham się więc, czy mówić mu o Annie In. Czy nie lepiej wycofać się stąd, dać mu święty spokój.

Słowa jednak wędrują z moich ust same:

– Jest w grobowcach od trzech dni. Nie wróciła.

– Czy mam rozumieć, że przychodzisz do mnie po pomoc?

Potakuję bez przekonania, ale chętnie zakończyłabym tę audiencję.

– Czy naprawdę myślisz, że ludzka siła fizyczna, ludzki wdzięk i urok i moja siekiera, mogłyby coś pomóc? Nino Szubur, nie bądź naiwna...

Śmieje się ironicznie ten bohater; kaszle. Podnosi się z trudem, żeby usiąść.

– Co mam dla niej zrobić, co mam jej dać: chleb ofiarny czy głodowe racje? Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Czy nie miała innych kochanków? Mogę ci ich wymienić, lista będzie długa. Rozejrzyj się wokół, zapewne znajdziesz ich tu kilku. Może ci przypomnieć, jak ich traktowała? Wszystko, czego się tknęła, popsuła. Każdego, kogo kochała, musiała zranić. Kogo lubiła: przynajmniej uszczypnąć. Nie masz jeszcze śladów?

Uśmiecha się ironicznie. Jego piękne wysztucznione zęby błyszczą kolorowo. Lecz twarz jest szara.

– To, co ona robi, nie jest ludzkie. My chcemy porządku, praw i definicji. Tam, gdzie ona przystanie, na dłużej osiadzie, tam, gdzie się rozgości, wszystko ulegnie zaraz rozmazaniu, lekka mgła opadnie na oczy, między dniem a nocą porobią się dziury, drobne przejścia. Na granice ruszą przemysłowcy, znaki przy drogach utracą znaczenie, lewe będzie prawe, a przód tyłem. Już jej raz pomogłem – mówi. – Bardzo dawno temu. Miała drzewo w domu...

Miała drzewo w domu. Marzyła o nim, wierciła dziurę w brzuchu swojej matce. Rzadkie drzewo, nie karłowate, nie takie, jakie ludzie trzymają w doniczkach na balkonach, lecz duże, wielkości człowieka, może jeszcze

większe. Sadzonkę przyniosła jej matka, z daleka, zza miasta. Wyłowiła je z wody. Pomógł jej Ogrodnik, przygotował najlepszą ziemię, specjalne nawozy, które robi się z czystych minerałów. Zbierała wodę z deszczu, filtrowała z rdzy. Ojcowie, jej dobrzy ojcowie, dali jej piękne mieszkanie prawie na najwyższych poziomach. Słońce wpadało tam przez świetliki, prawdziwy blask słoneczny, mokre plamy światła. Kochała to drzewo. W dalekiej przyszłości, gdy będzie już stare, zrobi z niego łóże i fotel, może wystruga czołno albo łuk i strzały. Jego drewno nie pójdzie na marne, nie spróchnieje w ziemi... Ale ona hołubiła swoje dziwne zwyczaje, jej dom był otwarty, drzwi nie zamykała, i nie miała kluczy. Każdy tam wchodził. W końcu w jej domu rozgościli się niechciani goście, przybłądy, moczymordy, kloszardzi i odmienicy, obleźli wszystkie pomieszczenia, zajęli łóżka, okupowali łazienki, zgromadzili sterty brudnych naczyń w kuchni, stosy śmieci. Na podłodze rozłożyli maty, bo ktoś puścił plotkę, że sen w jej mieszkaniu zawsze jest proroczy.

Kiedyś, gdy chciała podlać swoje cenne drzewo, gdy zbliżyła się do jego mocnych konarów, zobaczyła, że w jego gałęziach mieszka wąż i jakiś brudny gołąb uwił sobie gniazdo. Cofnęła się ze wstrętem, odtąd się go bała. Stara krewna zawładnęła domem, kobieta z prowincji, która nie zna nawet naszego języka – jej milcząca obecność, dziwne obyczaje, dzikie i pustynne, jej mroczny wzrok, jej bose stopy były tak niemiłe, że wszyscy baliśmy się wręcz przekroczyć próg. Wychodziła do nas przed drzwi twoja Anna In. Rozmawialiśmy na schodach.

– Widzisz, Nino Szubur, oto cała ona. Miała dom i nie umiała go dopilnować. Miała przyjaciół, lecz nie dbała o nich. Miała kochanków, lecz nie traktowała ich czule. I mimo wszystko nigdy nie odmówiłem jej pomocy. Wyrzuciłem stamtąd wszystkich, i ich szmaty, brudy. Węża na patyku spuściłem przez okno, rozniosłem w pył gołębie gniazda. Krewną, po prostu, wziąłem pod ramię i wypchałem na schody. Stała tam jeszcze w milczeniu, jak to ona, stała do wieczora, lecz potem zniknęła. (Dziwnie twarde było to jej ramię, silne, choć chude, nieustępliwe). Twoja Anna In wydaje się silna, a nie umie poradzić sobie z tak prostym porządkiem. Tam gdzie trzeba siły i jasnej decyzji, jej moc zawodzi. Jest w niej coś, co mnie przeraża, mimo jej urody i szlachetności. Jest w niej mroczny gniew, zacięte szaleństwo. Nie takich sobie szukałem narzeczonych. To, co było

proste, zawikłała, to, co zawikłane, jeszcze zawiązała w supeł. To suchy lód, na wpół wykończone drzwi, które nie chronią przed wiatrem, nie dają bezpieczeństwa, to smoła, która brudzi ubranie, but, który uciska nogę. Przykro tak mówić o zmarłym. Bo co to oznacza, że nie wróciła z grobowców? Piękna metafora! Ona umarła, moja Nino Szubur. Temu prawu nic już nie zaradzi, żadna najcięższa siekiera, żaden bohater. Nie znajdziesz nikogo, kto ci pomoże.

– Nie, nie umarła, zeszła nieopatrznie do podziemi, a jej siostra... – zaczynam swoje, jedyna odpowiedź na jego okrucieństwo. Łzy płyną mi do gardła, dławią.

On przymyka oczy, zmęczony, już wie, że go znuży to, co zaraz usłyszy. I co na to odpowie zmęczonym głosem.

– Jakie podziemia, jaka siostra? Wiem, jak to wygląda. Serce staje, krew nie płynie, mózg nie ma tlenu, komórki obumierają, zanika czynność elektryczna mózgu, przestają płynąć impulsy i koniec.

Wzdycha, odwraca głowę do okna, widzi windy jadące w dół, zwieszają się z trakcji jak krople.

– Jestem chory. Nie wyjdę już z tego. Widziałem, jak umierają inni. Żadne tam zaświaty. Oczy w słup, drętwa, nagła bladość twarzy, chłód, sztywność. Gdyby tak można ściągnąć z siebie martwą skórę niczym wąż i wyczołgać się z siebie zupełnie nowym. Ale nie można. Kup jej ode mnie kwiat od Ogrodnika. – Rzuca mi monetę.

Łapię ją w locie, rozgrzewa się od mojego ciepła. Jest na niej jej podobizna, twarz Anny In, In Anny, jej głowa z setką warkoczy. Druga Strona – to tamta, jej siostra.

Winda zamyka się z sykiem, równa w szeregu do innych. Patrzę, jak ginie w miejskim ruchu. Mogę teraz wrócić do domu i po czubek głowy przykryć się kocem, zamknąć oczy, uszy zakorkować woskiem. Przyjaciółko moja, specjalistko od spraw beznadziejnych, pani moja, zawiodłam cię. Świat pewnie przetrwa bez ciebie, nic nie zauważy: będzie kręcił się w kółko, depcząc po starych ścieżkach. Czas zatrzyma się na tych kilka dni przed wielkim festynem, dzień pierwszy, dzień drugi, dzień

trzeci, i znowu od początku – niedzieli nie będzie. Przyszłość sparcieje, jutro stanie się suchym papierem, niewyraźny podpis przyzna mi prawo do jednego życia, jednej śmierci, wszystko rozpisane w rubrykach, oznaczone ptaszkiem. Potem zwolnię miejsce dla innych. Moje ciało zasili nawozem trawniki w mieście, minerały i związki chemiczne wrócą do obiegu.

Czekam na windę i w myślach przeglądam swój notes z adresami. Do kogo by jeszcze? Kto może jej pomóc? Zostali tylko ci słabsi, najsłabsi, ci nieważni, zwyczajni, mali i najmniejsi.

Oto Szara i Lulal. Jeden ją karmił, drugi mył jej głowę.

Witają mnie nerwowo, już wiedzą. Już pogłoska rozeszła się pośród jej przyjaciół. Balansujemy między stolikami, wszystkie są zajęte, ludzie zaczęli już świętować festyn. Słysząc dźwięki sztuców, brzęk talerzy, dzwonki kieliszków, gdy wznosi się toast. Szara, który ma restaurację, karmi mnie i poi. Zbiera dla mnie najlepsze smakołyki. Orzechy w cukrze, prażone migdały.

– Co można zrobić?

Lulal opuszcza świątecznych klientów, tych, co na festyn chcą mieć modne fryzury, i myje mi głowę, masuje ramiona.

– Gdybym miał swoje wojsko, armię przyboczną, wiernych pracowników, wtedy poszlibyśmy tam z tobą i ją uwolnili – marzy. Jego ręce są delikatne i czule, nie nadają się z pewnością do noszenia broni.

– Gdybym był bogaty, przekupiłbym strażników, wynajął samolot, rzucił liny i wyciągnął ją stamtąd – marzy Szara. Robi świetne omlety.

– Czy masz jeszcze siłę? – pytają mnie obaj. – Co mamy robić? Tylko powiedz. Jak jej pomóc? Może zbierzemy ludzi po weekendzie, wyjdziemy na ulicę?

Potrawy Szary i masaż Lulala dobrze mi robią. Dotlenia się mój mózg i tylko jedno imię przychodzi mi do głowy – Ogrodnik. Powinnam iść do niego na samym początku, ile czasu udałoby mi się zaoszczędzić. I choć zamykają mi się oczy, choć ledwo stoję na nogach, ruszam dalej. Gdy biegnę, wydaje mi się, że mam skrzydlate buty.

W sercu miasta wisi największy ogród, rośnie tu nawet prawdziwe wielkie drzewo. Ścieżki wysypane żwirem i wyłożone dywanikami prowadzą pod jego rozłożystą koronę. Tam go znajduję – Ogrodnika. Wisi, uczepiony stelaży nieba, i przyczepia lampiony do gałęzi. Jego pomocnicy obsadzili już rabaty różnokolorowymi kwiatami z bibuły. Macham do niego z dołu. Rozkłada bezradnie ręce. O tak, wiem, że jesteś zajęty, ale musisz tu zejść!

Jego biała koszula poplamiona jest sokiem. Trzyma w ręku sznurki do wiązania lamp.

Patrzę na niego – piękny jest Ogrodnik, łagodny i wesoły. Pokazuje mi lampion, który zaraz zawiesi na drzewie. Drobne włókna cienkiego papieru bawią się ze światłem. Co mu powiem, jaką wieść mu przyniosę tuż przed świętem światła? A gdy mu już wszystko wyjaśnię, co on zrobi? Co może zrobić ten wieczny chłopiec, mistrz papierowych form, tekturowych ptaków, cyrkowych trapezów, czy przywdzieje zbroję i ruszy walczyć ze smokiem? Zejdzie do piekieł, lekkoduch i grajek?

– Źle wyglądasz, Nino Szubur, płakałaś? – pyta i przygarnia mnie do piersi.

Trzymam dobrze słowa na uwieży.

– Co się stało, dlaczego płaczesz? – powtarza, ale już go obstepują małe dzieci, domagają się zapalenia lampek. Jego kieszenie zawsze pełne są słodczy, jak on to robi? Wyciąga z nich garście rodzynek w czekoladzie, kandyzowanych moreli, suszonych płatków banana.

– Anna In – mówię – In Anna. Zeszła do grobowców. – Patrzę uważnie w jego twarz. Zanim wypowie jakiekolwiek słowo, będzie tam już wypisana odpowiedź.

– Wiem – mówi cicho.

Nagle rozumiem jego myśli: nic się nie da z tym zrobić. Ratunku nie będzie. Jego spuszczone głowa, jego milczenie.

– Bądźmy w kontakcie – krzyczy do mnie, gdy odwracam się i ruszam przed siebie biegiem.

Oglądam się jeszcze pełna żalu i widzę go na linie, pas czule obejmuje jego zgrabne zwinne ciało. Jego ciemne kręcone włosy opadają, oto ludzki pędzel, którym maluje się kolory miasta. Zostawia mnie w pół słowa. Przetykam je. Rani mi gardło.

Hamam. Opowieść Anny Enhudu

Trzeba się w szatni rozebrać do naga. Dostaje się biały ręcznik i klucz. Idę w głąb łaźni boso po podgrzewanych kaflach. Ja, Nina Szubur, drepczę niezgrabnie, pewnie widać, że się spieszę, osłabłam z niepokoju. – Którędy do Anny Enhudu? – pytam każdą mijaną postać. Pokazują mi ręką: tam, tam, za oparami wodnymi, w samym środku słodkiej mlecznej bieli pełnej ciepłych ludzkich ciał. Och, gdyby tak móc zatrzymać się tutaj w tej ciepłej mgle, zanurzyć w pachnącej wodzie, a potem oddać dobrym ludzkim dłoniom, ich pieścizocie. Ciało do ciała, skóra do skóry, usta do ust. Czego nam trzeba więcej niż to proste równanie, najprostsza geometria.

Odwraca się do mnie wysoka kobieta, ma na głowie biały turban, a całym jej ubraniem jest kawałek płótna. Gdy mnie dostrzega, gdy widzi wyraz mojej twarzy, poleca masaż skończyć komu innemu. Muszę wyglądać nieciekawie, niedobrze, skoro bez słów bierze mnie za rękę i prowadzi w białe miękkie korytarze. Daje szklankę słodkiej herbaty, każe usiąść na skraju basenu i obmywa mi nogi pachnącą wodą.

– Anna In, In Anna – zaczynam swoje.

Nie opieram się jej rękom, rękom Anny Enhudu, Enhuduanny. Zanurzają mnie w ciepłą, pachnącą olejkami wodę, ból z mięśni spływa, strach, niepokój, panika, które mi dotąd towarzyszyły, pienią się teraz wściekle i znikają.

– Tak zawsze robię z Anną In, z In Anną, gdy mnie tu odwiedza – mówi kobieta. – Tak o nią dbam. Potem ścielę jej posłanie. Rano rusza dalej. A teraz ciebie natrę olejkami.

Żywa jest jej twarz. Odbija się w niej każde moje słowo. Jej brwi, jej oczy, policzki i usta – to twarz z rtęci, z wypolerowanego srebra, w którym jak w lustrze toczy się moja opowieść.

Zawija mnie w czyste płótno i prowadzi do pokoju, gdzie w centralnym miejscu stoi fajka wodna, wielkie ozdobne nargile. Dym już się zbiera w szklanej kuli. Pod ścianami leży mnóstwo glinianych tabliczek, tysiące, wszystkie zapisane. Te ledwie narodzone, jeszcze gładkie, jeszcze ślepe, czekają na rylec.

– Czy znasz matkę Anny In? Czy znasz jej matkę? Kim ona jest? Dlaczego nigdy o niej nie słyszałam, czy byłam głucha?

Opowieść Anny Enhudu:

– Jest starsza, niż myślisz – zaczyna Anna Enhudu. – Mówią, że jest matką ich wszystkich, ale to niemożliwe; to są istoty, których nie dotyczy żadne pokrewieństwo. Ojciec, matka, córka, syn, brat i siostra: to wydeptane ścieżki, którymi chodzi ludzki umysł. Oni mają autostrady. W ich krwi nie znajdziesz hemoglobiny ani chromosomów. Nie dotyczą ich prawa czterech zasad. Ich krew to skroplona wieczność, jest czarna jak smoła.

Kiedy była młoda, kiedy wszyscy oni byli młodzi, kiedy bogowie byli ludźmi i świat dopiero się narodził, pracy mieli wiele. Ojcowie projektowali i obmyślali budowy, a pracowali ci najmłodszy, którzy rodzili się całymi miotami, boskie szczenięta. Świat to wielki plac budowy, boska firma budowlana. Wybierali ziemię, szykując zbiorniki wodne, morza, jeziora i kanały, kopali długie koryta rzek. Nosili kamienie w wielkich koszach i usypywali z nich góry. Wybierali z ziemi glinę i rudy żelaza. Równali miejsca pod pustynię, nanosili na nie piach i skały. Obsadzali wybrzeża dziką oliwką i tamaryszkiem. Wydeptywali plaże. To była praca nawet ponad ich boskie siły. Ci najmłodszy z nich, ci najbardziej niecierpliwi, w końcu podnieśli bunt. Któregoś dnia podpalili kosze, motyki i kilofy, podpalili swoje narzędzia. Wzburzeni, przyszli do niej, do Ninmy, stanęli przed nią, przestępowali z nogi na nogę.

Zobacz, powiedzieli. My pracujemy tak ciężko, lecz tamtych trzech błąka się gdzieś bez celu po obrzeżach budów, rysuje plany, coraz bardziej przemysłne, skomplikowane. Ich pomysły są ze sobą sprzeczne, trudne do wykonania, czasem niemożliwe. Gubią się w szczegółach. Albo śpią i śnią jeszcze bardziej szalone plany. To oni są przyczyną naszego nieszczęścia. Mają pokręcone w głowach. Zwróć się do nich w naszej sprawie, niech coś zrobią, niech negocjują z nami. Nie możemy tak ciężko pracować. Po co nam ten cały świat? Jaka z niego korzyść? Chcemy mieć spokój. Tak powiedzieli.

Anna Enhudu wrzuca do fajki wodnej garść suszonych jabłek, trochę pachnących ziół i podaje mi ustnik. Słodki dym rozświecła mi płuca. Robi mi się błogo. Zapominam o pośpiechu. Przecież ona umarła, moja Anna In, jakie ma znaczenie ta ciepła aromatyczna chwila, ta jedna rozciągnięta godzina wobec wiecznej ciemności.

Jej dłonie ustawiają przede mną talerz, a na nim bułeczki, masło i miód. Miód leje się złotą smugą, ma taki sam kolor jak oczy Anny Enhudu.

– Zrobiło jej się żal tych zapracowanych istnień – ciągnie Anna Enhudu – mogłaby o nich powiedzieć, że jest ich matką, a oni jej dziećmi, że jest ich siostrą, a oni jej braćmi. I ona myślała podobnie. W tej pracy tkwiło od początku szaleństwo. Po co usypywać góry, po co kazać rzekom płynąć do morza, żeby tam popełniały samobójstwo, po co grabić pustynie, skoro wiatr znowu ułoży je w diuny. Po co sadzić lasy, skoro drzewa umrą i zgniją.

Dźwignęła swój kosz, wzięła kij, zawiązała sandały. Zastała ich, jak spali. Obudziła najstarszego, księgowego. Uderzył się w uda ze złością, wściekły.

Dlaczego mnie budzisz? Dopiero co udało mi się zasnąć. Miałem bezsenny miesiąc, krzyknął.

Kiedy ją jednak zobaczył z tym koszem i kijem, oprzytomniał.

Zawsze wymyślał dziwne stworzenia. Kiedy po raz pierwszy naszkicował jeża, cała reszta wybuchnęła śmiechem. Co za szalona wyobraźnia, krzyczeli. Połączenie ostrego z miękkim, bezbronno z groźnym, chwalili, pocierając brody z podziwem. Jakie to oryginalne! Albo mrówkojad, czy wiesz, jak wygląda? – pyta Anna Enhudu i dorzuca do fajki suszonej kocimiętki. – Albo nasiona w owocu granatu: każde w osobnym żelowym

futerałe. Azury nasion dmuchawca, które podróżują w powietrzu, szukając lepszych światów. Widziałaś kiedy stonogę? Albo meduzę? O tak, trzeba przyznać, że miał wyobraźnię. To on wymyślił sprytny porządek, zawór bezpieczeństwa: wszystkie istoty będą się wzajemnie likwidować, w ten sposób nigdy świata nie będzie grozić tłok. Z ołówkiem w ręku wyrysował schemat, kto kogo zaatakuje, zabije, pożre, wyprze, wytrzebi; piękny hierarchiczny porządek. Można go podziwiać do dziś, niezwykle inteligentne logistyczne dzieło. Wisi w jego gabinetach, powielone w tysiącach rycin, pieczętuje jego schematem swoje dekrety. Drzewo Życia.

– O tak, widziałam – mówię – pokazał mi.

– Zadbał o najmniejsze szczegóły, o każdy detal – ciągnie Anna Enhudu – zaprojektował pasożyty i bakterie, niechże ten porządek sięga w głąb, niechże pożeranie toczy się wszędzie. A wszystko, żeby żadne istnienie nie trwało zbyt długo. Kto żyje odpowiednio długo, w końcu zacznie orientować się w tym planie, zacznie w końcu coś podejrzewać, a może nawet podniesie rwetes. Taki podejrzany porządek nie może trwać wiecznie. Stąd bezsenność jego twórcy.

Gdy usłyszał skargi swoich młodszych braci na ciężką pracę, przestraszył się ich buntu. Obudził dwóch pozostałych ojców. Zaspani, czochrali teraz brody.

– Sytuacja jest dość poważna; oni mają rację. Źle to wymyśliliśmy – powiedział.

Zaniepokoił się, a oczy mu się lekko rozjechały, jak zawsze wtedy, gdy intensywnie myślał. Język nieśmiało pojawił się między wargami; jego koniuszek robił w powietrzu pierwsze, próbne szkice.

I narysował postać. Miała być zrobiona z mięsa, z wody, z minerałów, miała być niewielka, żeby nie zajmowała zbyt wiele miejsca, i niezbyt silna, żeby nie trzeba się było bać jej buntu, postać o mocnych nogach, żeby mogła nosić ciężary, i sprawnych rękach, żeby mogła budować narzędzia.

O tak, już się rozpędzał, już ołówek nabierał rozmachu, powstawały wektory powiązań, wzajemnych wpływów, zależności. Wymyślił coś, żeby trzymali się razem, żeby do głowy im nie przyszło samotnictwo, bo wtedy rodzą się najniebezpieczniejsze myśli, wymyślił im płęć! A z nią i odpowiednie narzędzia, żeby mogli produkować się sami, żeby nie

zawracali bogom głowy; lecz nie była to taka pleć, jaką miał on sam i inni ojcowie, i bracia i siostry, i matki i córki, nie pleć wielokrotną, do wyboru, pleć pełną mocy, która nie różni, tylko łączy, dzięki której można być jednocześnie bratem i kochanką, ojcem i siostrą, synem i matką. Im, tym drobnym istotom, dał pleć jednorazową, byle jaką, marną imitację. Aż się sam tego przeraził, na chwilę tylko, więc zaraz wynagrodził im ów stygmat chwilą przyjemności. I wymyślił dla nich szybkie życie zakończone śmiercią, bo w ten sposób, żyjąc krótko, nie zdążą ogarnąć w całości jego planu. To mu zaraz poprawiło humor: zatrząsł się ze śmiechu, a ci, co zaglądali mu przez ramię, razem z nim. To dopiero! Ale pomysł. Zajmie im to mnóstwo czasu; będą do siebie lgnąć, schodzić się i rozchodzić, będą tęsknić i marzyć, pragnąć i pożądać, cierpieć i popadać w ekstazę. Dmuchnął w mokrą tabliczkę, na której rysował, i prototypowa postać, ten pusty w środku szkic, ożyła, spojrzała na siebie i zaraz się zawstydziła. Zakryła rękami swoje przyrodzenie. To też wzbudziło wybuch śmiechu.

Proszę bardzo! Ty ich wykonasz, powiedział do niej, do Ninmy, i wręczył jej plan.

Odmówiła. Nie. Nie w ten sposób, nie takimi środkami. Widocznie źle ją zrozumiał.

Powiedziała: Byliśmy szczęśliwi z twarzami w cieniu, wycofani. Byliśmy spokojni. Nie trzeba było zaczynać. To niezbyt dobry pomysł, ten świat. Przynosi nam trud i zmęczenie. Lepiej by było niczego nie stwarzać, nie poruszać, nie zmieniać. Zostawić, jak jest. Trudno, wszystko, co możliwe, już istnieje, po co jeszcze tworzyć niemożliwe? Po co poruszać, kiedy może zostać nieruchome? Po co zmieniać, kiedy może być niezmiennie? Skoro już narobiliśmy tyle złego, zostawmy świat w spokoju. Słońce niech wschodzi raz dziennie i raz dziennie zachodzi. To, co za dnia się ogrzewa, niech chłodzi się nocą. Ziemia będzie niebieskim korałem, będzie sama sobie wystarczać, wisieć w czerni, lśnić. Jej łądy porosną łąki i lasy, nie będzie upraw ani miedzy. Z chmur spadnie deszcz, który wsiąknie w ziemię. Bezruch jest łagodny, piękny i dostojny. Trudno już znieść cierpienia zwierząt, po co nam jeszcze to stworzenie, ta płaska, biedna istota? Nie, powiedziała. Nie tworzyć jest lepsze niż tworzyć.

Tak im mówiła, a oni słuchali, ale już w głowach przygotowywali własne argumenty. Już się zmówili.

Potrzebujemy ich, należy nam się odpoczynek, uzasadniali.

Lecz Ninma już zbierała się do odejścia. Wzięła swój koszyk i swój kij.

Nie będę brać w tym udziału, odparła. Tworzy się z niepokoju. Tworzy się ze strachu i ku nieszczęściu, bo wszystko, co stworzone, musi się rozpaść. Każde „niech” jest początkiem katastrofy.

Jakie jest więc wyjście?, zapytali. Trzeba zrobić kogoś, kto nas odciąży w pracy, kto będzie dbał o świat, który już jest, o rzeki, ich wylewy, o zwierzęta, o rośliny. Niech ktoś trzyma owce w zagrodach, reguluje rzeki, uprawia rośliny. Wtedy wszyscy odpoczniemy. Nie martw się, mądra Ninmo, gdy zrobią swoje, zniszczymy ich bezboleśnie, tak mówili.

Nie, upierała się. Beze mnie. Sami sobie stwórzcie niewolników. To łatwe. Prosty jest przepis na człowieka: bierze się trochę gliny z wykopów, trochę własnej krwi, kroplę waszego nasienia. Wkłada się to do brzucha i nosi przez dziewięć dni. I koniec.

Uśmiechnęła się złośliwie.

Wychodzę, powiedziała.

Jeden z ojców chwycił ją za rękę, złapał za jej sękaty kij. Wiedzieli, że samym im się to nie uda, sami tego nie potrafią. Mogli robić tylko płaskie szkice i doglądać budowy. Tylko Ninma umiała lepić trójwymiarowo. Powtarzali więc jak dzieci: Proszę, proszę, zrób ich i damy ci już spokój. Pójdiesz, gdzie będziesz chciała. Ostatni raz, prosimy...

I ona, matka Anny In, In Anny, się zgodziła.

Anna Enhudu wzdycha. Fajka gaśnie. Jednym ruchem dłoni ściąga z głowy turban; jej czaszka jest gładka i lśniąca. Narzuca na siebie lnianą tunikę, wiąże szal na ramionach.

– Prawdę mówiąc, nie rozumiem jej – ciągnie Anna Enhudu. – Nie rozumiem tego. Dlaczego wzięła glinę z wykopów, dlaczego nas zrobiła? Po dziewięciu dniach wyszliśmy z jej brzucha, bladzi i delikatni. Nosila nas przez dziewięć dni w cieple i ciemności. Mrużyliśmy oczy, kiedy wychodziliśmy na świat, drżeliśmy. Budowaliśmy sobie domki na brzegach rzek, kryliśmy je trzcina. Wieczorami wychodziliśmy przed domy, podnosiliśmy głowy i szukali jej, coś przeczuwając. Układaliśmy wargi na różne sposoby, wierząc, że w końcu uda nam się wymówić jej imię. Ale nie mogliśmy jej zobaczyć. Ani jej, ani nikogo z tamtych. Przyglądaliśmy się

więc trzcinom, ich puchatym nasionom, które podrywa w powietrze wiatr znad rzeki: patrzyliśmy, jak zbudowane są skorupki ślimaków, wiedliśmy palcem po spiralnych skrętach, a potem na opuszkach znajdowaliśmy ten sam wzór; patrzyliśmy, jak mrówki budują swoje mrowiska, jak taszcza sosnowe igły, jak podtrzymują stropy korytarzy kawałkiem drewnianka, i od nich nauczyliśmy się stawiać swoje miasta. Przyglądaliśmy się, jak rzeka żłobi nowe koryta, i zaczęliśmy pomagać rzekom; budowaliśmy kanały, które nawodniły pola. Widzieliśmy, jak nasienie pada w ziemię i wyrasta z niego roślina; robiliśmy tak samo, rzucaliśmy nasiona, a potem zbieraliśmy rośliny. Oglądaliśmy ptasie ślady w mokrej nadrzecznej glinie i sami też tak zaczęliśmy robić; nauczyliśmy się zostawiać ślady po sobie w glinie.

– Popatrz – mówi Anna Enhudu i pokazuje mi swoje tabliczki pokryte znakami. – Zapisuję wszystko w glinie. Woda jej nie rozpuści, ogień nie spali, wiatr nie zliże tych znaków. Nawet gdy spłonie papier, suche piaski pustyni przechowają każde moje słowo.

Anna Enhudu, kobieta bez włosów, kobieta o pięknej ciemnej twarzy, każda, która zapisuje, rozkłada przede mną małe prostokątne tabliczki, wszystkie wielkości ludzkiej dłoni, jak puzzle, jak klocki, którymi bawią się dzieci, jak domino. Można z nich złożyć cały świat.

Ciągnie:

– Udało się, bogowie, podchwyciliśmy to, co chcieliście nam powiedzieć: jak budować i pracować, zbierać i wysiewać, wytapiać metal i rzeźbić w nim wasze wizerunki, śmieszne i nieudolne, nieprawdziwe, bo nawet nie bardzo wiemy, jak wyglądacie.

Matka Anny In pojawiała się nocami wśród ich chatek, zaglądała ludziom do okien. Widziała, jak przywierali do siebie z siłą, której nie umieli pokonać, jak tulili się do siebie i płodzili takich jak oni sami, jak rodzili się nowi na klepiskach z gliny, bezradni i ślepi, strzępki mięsa upchane w ludzki kształt. Umierali od zatrutej wody, od gwałtownych ulew, dziesiątkowały ich plagi, palił ogień, gdy płonęły lasy. Nic nie było równie kruche jak oni. Nawet trawa wydawała się przy nich wieczna i niezniszczalna, nawet kwiaty były przy nich jak wykute ze stali.

Wszyscy się cieszyli, że tak dobrze jej poszło, tej starej kobiecie. Stworzyć ludzi: coś więcej niż zwierzęta, ale mniej niż bogowie. Bystrych,

ale nie za mądrych. Silnych, ale pozbawionych prawdziwej mocy. Pewnych siebie, ale i strachliwych. Wrażliwych, ale nie tak, żeby mogli przeniknąć zasłony. To dopiero! Na jej cześć, na cześć Ninmy, wyprawiono przyjęcie. Stawili się wszyscy. Dawni buntownicy byli teraz zadowoleni i wypoczęci. Rozstawiono stoły w płaskiej okolicy, pod niebieskim poszyciem nieba, na udeptanych piaskach pustyni. Najęto wiatr, by chłodził trunki, i fale, żeby szumiały na głosy.

Wypili morze najlepszego piwa, uderzyło im do głów, po to właśnie jest.

Wychwalali ojców, tych planistów, architektów, nadzorców budów, tych, co jednej nocy wymyślili gramatykę, raje, Drzewo Życia, porządek, tych, co wynaleźli jeża i owoce granatu starannie poukładali w żelowych pochewkach.

– Prawie je słyszę, te głosy, gwar i szum – mówi Anna Enhudu – brzęk szkła, uderzenia metalowych sztućców o brzegi talerzy, trzask rozłupywanych małży, mlaśnięcia języków, suchy trzask ptasich kosteczek, ogryzionych do cna z mięśni i ścięgien, chlupot piwa w wielkich szklanych pucharach stłumiony przez białą pianę.

Któż byłby w stanie coś takiego ulepić, toż to dzieło sztuki? Któż mógłby ci dorównać, Ninmo, nasza bystra rzeźbiarko, nasza siostró, matko i żono?, pytano między toastami i zaraz sobie odpowiadano: Nikt.

Lecz ona, Ninma, matka Anny In, była nieswoja, smutna, zamazana. Usiadła na skraju, przy rogu stołu z kantem wycelowanym w jej serce. Śmiali się więc, że nigdy nie wyjdzie za mąż; taki przesąd. Obok położyła swój kosz i oparła o kolana swój kij. Dolewali jej słodkiego, mętnego piwa. Kucali przy niej, nadstawiając głowy do pieszczoty. Powiedziała: Każda ta istota, każda ludzka postać, którą stworzyłam, może być mniej lub bardziej doskonała. Staralam się, ale jedni wyszli mi lepiej, inni gorzej. Niestety w ten sposób wyznaczyłam im los, lepszy albo gorszy. Moje dzieła są wystarczająco dobrze zrobione, żeby żyć, ale też tak niedoskonałe, żeby nic ze swojego życia nie rozumieć. Przykro mi, że nie mogą być szczęśliwi.

Wtedy ten najstarszy uniósł swój puchar z piwem i rzucił z drugiego końca stołu: Och, nie, nie, moja droga. Ty ich tylko zrobiłaś. Wykonałaś ich świetnie, ale plan był mój. Jesteś świetną rzemieślniczką, ale to ja jestem

artystą. Ja będę panem ich losu. Ja ich los skoryguję. Tu podniósł kufel piwa jak do toastu. Zabawmy się! Proszę, zrób człowieka, tak, ulep go z tych śmieci, których tu pełno, weź gliny spod nóg, weź kurzu z pustyni, okruchy z naszego stołu, weź rozlane piwo, weź te ogryzione kości i wyplute pestki. Zrób człowieka.

A wszyscy goście od razu podchwycili: Zrób człowieka! Zrób człowieka! On wyznaczy mu los!

I już niektórzy zaczęli obstawiać zakłady, łapać się za dłonie i przybijać. Walić pięściami w stoły, stukać się szklankami piwa, aż piana wyskakiwała wysoko w powietrze.

– Wtedy ona znowu popełniła błąd. Tak mi powiedziała – mówi Anna Enhudu i otula się ciasniej szalem. Para znika z łaźni, robi się chłodniej, widocznie na noc wygasza się piece. Anna Enhudu ciągnie fajkę, ale nargile wygasły. – Zgubiła ją własna duma; to jedyny grzech bogów – mówi z żalem. – Zgodziła się na tę zabawę. Wzięła gliny spod nóg, zmieszała to z tym wszystkim, co tam było pod stołami, i szybko, kilkoma ruchami sprawnych dłoni ulepiła ludzką postać. Ale stworzenie nie było udane. Było byle jakie. Stało na chwiejnych nogach wśród wpatrzonych w nie oczu, nagle. Ninma podała mu kawałek chleba, żeby je ośmielić. Ale człowieczek był słaby, jego szara twarz nie nabrała jeszcze życia, jego ręce drżały i kęs wypadł mu z rąk. Goście wybuchnęli śmiechem.

Będiesz świetnym służącym, z takimi rękami nic nie ukradniesz, powiedział zadowolony z siebie najstarszy, pochylając się nad przerażoną istotą. Dostał brawa.

Chciał zaraz zgnieść człowieczka, ale Ninma zabrała go i schowała w koszu, mówiąc: Nie trzeba niszczyć, co raz już powstało. Jak już powstało, nie jest nasze, nie należy do nas.

Gramy dalej, powiedział najstarszy, bukmacherzy zapisali na jego koncie plus.

Ulepiła następną figurkę, a ona natychmiast ożyła. Jej oczy ledwo się otwarły, jeszcze spały, dopiero przyzwyczajały się do światła. Ale najstarszy

już krzyknął: On jest ślepy! Niech zatem będzie muzykantem, niech nam gra i umila wieczory. Co ty na to?

Nie, nie grajmy już w to, powiedziała Ninma i ruszyła do wyjścia. Młodszy podbiegł do niej i chwycił ją za poły poplamionego gliną fartucha.

Zostań, zostań, nie wolno ci przegrać walkowerem!, wołali. Podali jej kufel piwa, posadzili ją na ławie. Postawiliśmy na ciebie, nie możesz teraz odejść! Musimy skończyć te zawody!, krzyczeli.

Więc trzeci, którego zrobiła, miał słabe nogi, nie mógł ustać, przewrócił się.

Będiesz robił biżuterię, na siedząco, nie musisz chodzić, krzyknął księgowy, bardzo rozbawiony. Jeszcze! Jeszcze zrób nowego, wołali wszyscy.

Ten następny był pomieszany, nie wiedział, gdzie jest, rzucił się natychmiast do ucieczki, wpadł pod krzesła, krył się między nogami.

To głupek, wrzasnął księgowy. Och, ten niech będzie urzędnikiem przy biurku, przywiąże się go do stolika, żeby nie uciekł. Da się mu liczydło, będzie rachował kolumny liczb.

Ryczeli ze śmiechu. Jeszcze, jeszcze! Następny wyrwał jej się z dłoni, był przerażony. Nie mógł utrzymać moczu. Zsikał się, co przyprawiło ich wszystkich o atak śmiechu. Najstarszy pstryknął go palcem w głowę.

Potem była kobieta, drobna i chuda, bez brzucha. Nie mogłaby rodzić, więc najstarszy uznał, że zajmie się tkaniem i prostytutką, skoro i tak nie będzie z niej innego pożytku. I ten ostatni. Podochocony najstarszy wyrwał jej go z rąk, zanim go wykończyła.

O, ten nie ma nic, ani sromu, ani penisa!, mówiąc to, księgowy pokazywał go wszystkim. Co z nim zrobimy? Co zrobimy? Jaki mu los wynajdziemy?

Przestań!, krzyknęła Ninma. Rzuciła grudkę gliny na ziemię. Ucichli. A on, ten najstarszy, zarumieniony od piwa, spowaźniał.

Czego się złościś, czego chcesz?, zapytał. Twoim ułomnym stworzeniom znalazłem zajęcie, wyznaczyłem im los, mają sposób na swoje utrzymanie. Czy zrobiłem coś niedobrego?

Inni go poparli: Dobrze robił! Dał im zajęcie.

Urażony najstarszy schylił się i palcami zagarnął z ziemi trochę gliny. Dobrze więc, skoro nie chcesz, to teraz ja zrobię człowieka, zamienimy się, powiedział.

Długo gmerał w glinie, pomagał sobie językiem, ślinił palce. Inni zaczęli się niecierpliwić, szeptali między sobą. Przecież on jest od projektów, od szkiców, nie od wykonania. Artysta, nie rzemieślnik, jak już powiedziano. Ale widocznie piwo stępiło mu zdrowy rozsądek, widocznie poniosła go duma. Czy odważy się wziąć do czegoś, co potrafi tylko ona, Ninma, kobieta z koszem i kijem?

Długo to trwało i wszyscy słyszeli jego sapanie. Aż wreszcie pokazał to, co zrobił. Większość z biesiadników odwróciła wzrok, bo istota była mała i niekształtna, wszystko w niej było źle wykonane i chore – jej oczy były chore, jej kark był chory, żebra skrzywione, płuca chore, serce chore, wnętrzności chore, jej ręce słabe, nie mogłyby podnieść do ust kęsa chleba, jej kręgosłup był zgięty, głowa wykręcona, i obok niej na krzywej szyi jeszcze jedna głowa, chyba powstała z niepotrzebnej grudy gliny. Tak to wyglądało. Ale księgowy był z siebie zadowolony.

Dam mu imię, oznajmił. Niech się to nazywa, powiedzmy, Umu, jak moje sapanie. Widzisz, teraz twoja kolej. Ja dostarczyłem twoim istotom sposobu na życie, teraz ty daj mu możliwość zdobycia chleba. Jak będzie sobie radził w życiu? Wymyśl coś dla niego, skoro jesteś taka sprytna.

Pochyliła się nad tym człowiekiem, przyjrzała się mu ze współczuciem. Zagadnęła go, ale on nie potrafił otworzyć ust, nie odpowiedział. Podała mu owoc, ale on nie wyciągnął nawet po niego ręki. Zrobiła mu legowisko, ale on nawet nie umiał się na nim położyć.

Człowiek, którego zrobiłeś, nie jest ani żywy, ani martwy, co mam z nim zrobić, jak mam mu pomóc?, zapytała.

No widzisz?, zawołał najstarszy, już na chwiejnych nogach. No i jak? Nigdy nie będzie samodzielny, może tylko ssać mleko z twojej piersi. Nie potrafisz nic dla niego zrobić. Przegrałaś. Widzicie?, zwrócił się do innych. Teraz widzicie?

Dostał brawa, a potem wszyscy wrócili do biesiady i przestali się interesować grą.

Pozbierała je wszystkie, te małe istoty, słabe i ułomne, wzięła je do kosza.

Stała wzburzona przy końcu długiego stołu, pełna gniewu. Machnęła kijem ponad głowami biesiadników, a oni skulili się, przestraszeni, bo zawsze była łagodna. Umilkli.

Nie będę już mieszkać z wami, powiedziała. Nie będę mieszkać ani w niebie, ani na ziemi, nie będę mieszkać w domu, który zbudowałam, ani w mieście, które nie jest moje, bo moje miasta i domy są zburzone, moje dzieci dostały się w niewolę.

Co ona mówi?, pytali. Czy oszalała? To histeryczka, rzucił ktoś. Odbiło jej.

A najstarszy podniósł się ze swojego miejsca i zawołał: Twoje dzieła są ułomne, matko, żono i siostró, kto temu zaprzeczy?

Potoczył wzrokiem po zebranych znieruchomiałych z kuflami piwa w uniesionych rękach.

Nie możesz się równać ze mną, masz słabsze dłonie, słabsze ręce, twoja głowa jest słabsza, powiedział. Co z tego, że umiesz dawać życie, skoro nie wiesz, co z nim zrobić? I kto się z tym nie zgodzi?

Nie było takiego, rzeczywiście.

Słodkie są owoce Anny Enhudu, mądre są jej słowa, jej dotyk dobry, treściwy dym jej nargili, dym, który dodaje sił. Ale jej opowieść – straszna.

– Idź do niej, Nino Szubur – mówi do mnie. – Od tamtego czasu nikt nie prosił jej o pomoc. Żyje za miastem na skraju pustyni, rzadko ją widuję. Możesz być pewna, że ona pomoże.

Na kawałku gliny wypisuje mi kilka słów – to adres.

Rikszarz

Od stu lat rikszarze są zrośnięci ze swoimi rikszami. Dyszle wychodzą im prosto z łopatek, drewniane skrzydła. Ten jest biały, pewnie wyrastał w piwnicy bez światła. Jego riksha pokryła się już białym delikatnym naskórkiem. Ja, Nina Szubur, ja, która opowiadam, zapamiętam go, bo biegnie szybciej niż inne pojazdy, sprawnie bierze zakręty i przeskakuje kałuże. Pędzimy poziomami wprost na peryferie. To daleka droga, bo miasto jest wielkie, rozległe niczym metalowa grzybnia. Słońce wznosi się obojętnie, zmienia wachtę z księżycem.

Na peryferiach istnieją wielkie szklarnie i magazyny, w których gromadzi się rzeczy. Otaczają miasto lśniącym, parującym pierścieniem. Grzeją i żywią. To jest gospodarstwo tej starej kobiety, matki Anny In. Ten adres podała mi Anna Enhudu, właścicielka mlecznych łaźni.

Rikszarz jest nim zdziwiony. Na chwilę nawet przystaje i drobi nogami w miejscu. Według wszelkiego prawa nie powinien się w ogóle odzywać do klienta. Ale tym razem rikszarz łamie prawo. Nie może się powstrzymać. Najpierw długo chrząka, bo jego na wpół zarośnięte usta i język nienawykłe są do mówienia.

– Tam nikt nie mieszka, to opuszczone lotniska – mówi nieśmiało. Jego głos jest chrapliwy, przypomina turkot kółek po bruku.

Upieram się przy swoim. Powtarzam adres. Ruszamy biegiem, ale widzę, że rikszarz jest niespokojny. Odwraca się do mnie przez ramię, nabiera powietrza, a potem wypuszcza je nosem. Mówi z trudem, jego sztywny język nie potrafi obrócić słów na prawą stronę.

– Wiesz, co mówią rikszarze? – pyta po chwili niewyraźnie, urywanym głosem.

Co on może wiedzieć, biedny niewolnik. Jest przejęty. Zwalnia.

– Ona – odpowiada. – Mówią, że mieszka tam ona. Że wyniosła się poza miasto. Poza miasto. Miasto. – Zdanie topnieje w jego ustach, aż zupełnie znika.

Rikszarz znowu z przejęcia przystaje i przytupuje w miejscu, ale potem rusza z jeszcze większym impetem.

– Powiedz jej, jak tu jest. Jak tu jest. Jak tu jest. Jak tu jest. – Zacina się; widocznie mechanizm silnika wrósł już na dobre w jego ciało. Nie chce wziąć pieniędzy, ale mu je wciskam; nie mógłby się rozliczyć ze swoim pracodawcą, miałby manko.

Jak tu jest?, myślę. Rodzimy się w mieście i nie znamy nic innego. Jedni przychodzą na świat na górze, w słonecznych rejonach, inni na dole, bez światła, ludzkie grzyby. Wszystko zdarza się tylko raz i my sami jesteśmy jednorazowi. Nie było nas, zanim się urodziliśmy, i nie będzie nas, gdy umrzemy. Raj – to cyfrowy sen. Nikt nas nie wybawi, nie naprawi, nie zadośćuczyni. Każdego dnia stajemy się jeszcze bardziej bezradni.

Szklarnie i inspekty

Ja, Nina Szubur, ja każda, która opowiadam, dotarłam w to opuszczone miejsce, ale jej nie znalazłam. Pół dnia wędrowałam pośród budynków, zaglądałam w każde drzwi, każdy kąt, wołałam. Jej dom jest pustym hangarem na nieczynnym lotnisku, podzielonym przepierzeniami na brudne klitki. Nie ma tu żadnych śladów, nikt tu nie mieszka. Może adres jest zły, może odeszła stąd już dawno? Szukam jej w korytarzach, z których ścian oblażą wyblakłe tapety, po zaniedbanych pokojach z oberwanymi zasłonami w oknach. Potłuczone szyby sztukowano jeszcze gazetami, zanim wiatr je wywiał. Szukam jej w opuszczonym biurze, w wyschłych łazienkach bez wody, w garażach, w których stoją skamieniałe auta. Otwieram szafy pełne starych, zetlałych papierów, sprawdzam spiżarnie, gdzie mrówki wyjadły już ostatnie okruchy czerstwych chlebów. Boję się, że tej kobiety nie znajdę, że Anna Enhudu, zamroczona dymem, opowiada bzdury.

Och, Nino Szubur, nie masz już siły, mówię do siebie. Twoja podróż dobiega końca. Wyrzuciło cię z gry, poza planszę, poza poznane już dobrze terytoria. Można powiedzieć – było to do przewidzenia. Jakże marny człowiek, zwyczajny pomocnik, miałby coś uzyskać? Uratować boga? Z motyką na słońce? Przecież oni sami nie potrafią się znaleźć, szukają się wiecznie, niespokojni, co dopiero człowiek. Jeśli spotkasz kogoś przy szosie, o czwartej nad ranem, jak idzie poboczem, to na pewno jest ktoś z nich. Kogoś, kto wędruje pod prąd tłumu w godzinach szczytu. Kto ogląda film – samotny w pustym kinie. Kto w barze na rogu tuż przed zamknięciem, gdy lśnią już umyte podłogi, przetrzymuje barmana nad ostatnim drinkiem. Kto stoi na peronie, lecz nie wsiada do kolejki, ani tej, ani następnej, żadnej. Kto śpi na dworcu i kogo ciągle przegania policja.

Jak to się dzieje, że oni są wieczni, ale nie zawsze widocznie bywają szczęśliwi? Wszechwiedzący, ale nie wiedzą wszystkiego. Wszechobecni, ale tak często ich brakuje. Szukanie się – oto ich główne zajęcie. Matka szuka córki, żona idzie za mężem, kochanek szuka kochanki, choćby w piekle. Jakiś syn włóczęga, półnagi i na wpół pijany, wędruje za swoją zaginioną matką. Szukają się, robią to zawsze, wiecznie, bez końca. I gdy się odnajdą, znowu muszą się zgubić. Przynajmniej w tym mamy nad nimi przewagę – nam wszystko przydarza się tylko raz.

Moja piękna Anno In, In Anno. Nie udało mi się. Zawiodłam. Wlokę się zbyt wolno, błędę. Nie trafiam w okazje, nie mam szczęścia.

Nieprzyjazny to kraj – to miejsce za miastem. Miasto jest pionowe i pnie się w górę, tutaj panuje poziom. Betonowe płyty rozsadza brunatna trawa, żaden samolot nie wzniósłby się stąd w powietrze. Nie jestem przyzwyczajona do takich przestrzeni, budzą lęk. Biegnę w kierunku jakichś dalekich budynków na horyzoncie, lecz horyzont zrobiono chyba z gumy, ucieka przede mną.

Ten wielki dom niepostrzeżenie przechodzi w magazyny i wielkie spiżarnie, które ciągną się kilometrami. Wielkie składy żywności, hale zapasów dla całego miasta. Całe półki puszek, na których etykiety ze starości stały się nieczytelne. Beczki mleka w proszku, blaszane kanistry z miodem. Drewniane konwie na wino, żelazne racje chleba. Słoje oliwek, sprasowane paczki makaronów, worki suszonej fasoli. Zupy instant w torebkach z nieczytelnymi napisami, przeterminowane. Lecz nigdzie śladów żywej istoty. Zapasy spoczywają w sterylnym powietrzu, martwe jedzenie, bez zapachu, smak jest skondensowany, jeszcze nieczynny. Idę, prowadzona własnym ściśniętym sercem, mam wodę w oczach, liczę godziny od zamknięcia mojej miłej, liczę minuty, uderzenia serca.

To szklarnie, wielkie hale przykryte szkłem, niskie i duszne, i widzę z daleka jakiś ruch, podążam za tą iluzją, lecz znajduję tylko płaskie połacie inspektów wypełnionych żyzną glebą, pachnących ozonem. Co to za ruch, czy to wiatr miota omdlałą plastikową torebką? Czy to może zwiędłe papierki po cukierkach? Dźwięk pustej plastikowej butelki, która turla się po betonie, naśladuje ludzkie kroki.

A jednak ktoś tam stoi wśród szklanych płaszczyzn, pochylona samotna postać. Wyciąga coś z ziemi, układa starannie w solidnych kobiałkach. Idę do niej, biegnę, ale ona wcale się nie zbliża. Idę do niej, a pozostaję w miejscu. Zataczam koła, chcę ją podejść spiralą, ale to nie działa, nie można się zbliżyć. Stoję bezradna wzdłuż tej niewidzialnej linii, podnoszę ręce i macham do dalekiej figurki z brzegu innego świata. Wreszcie mnie zauważa, odwraca głowę, wreszcie mnie widzi i odtąd moje kroki stają się łaskawsze i nogi niosą mnie szybko, chcąc nadrobić tamto zapóźnienie, jakbym szła po ruchomej taśmie.

Kobieta pochyła się i wyłuskuje krągłe bulwy. Ostrożnie układa je w koszu.

Nic nie mówi, nie patrzy na mnie.

– Och – udaje mi się tylko powiedzieć. Och. Tyle mi zostało, jedno „och”. Teraz nie mam już słów, wyczerpałam je wszystkie. Płyta z nagraniem przepadła. Skasowały się pliki.

Ona podnosi na mnie wzrok i czeka.

– Anna In poszła odwiedzić swoją siostrę – próbuję opowiedzieć tę historię po raz kolejny, nie wiem już który. Słowa nie chcą mnie słuchać, ześlizgują się z moich warg i spadają na ziemię, umykają w kąty jak skorki. Nie chce mi się więcej mówić. Nie będę więcej mówić, chociaż nikt mi tu nie ustala limitu słów. To koniec, siadam u jej nóg, dyszę, potem kładę się na wznak i widzę niebo, prawdziwe niebo; jakie jest wysokie. Ciekawe, na czym wsparta jest tak wielka szklana kopuła.

Kobieta wraca do wybierania bulw z ziemi. Szepcze coś pod nosem. Daje mi odpocząć. Potem kuca przy mnie i dopiero wtedy widzę jej twarz: jest bardzo stara, stara jak kamień, jak skała. Jej szczupła postać podobna jest do sękaty gałęzi. Siwe włosy ma splecione w cztery warkocze, spadają jej na plecy. Jej oczy dały się złowić w sieć zmarszczek. Są ciemne, prawie czarne, żarzą się jak węgle. Prowadzi mnie do niskich szklarni i trzeba się schylić, żeby tam wejść, to wielkie inspekty przeznaczone na cenne rośliny, rzadkie cebulki, które ogrzewa tylko światło księżyca. Tam ma swoje legowisko, żadne łoże, kilka szmat rzuconych na podłogę, między stoły z sadzonkami.

Lecz gdy chcę usiąść, dostrzegam między szmatami ruch i odskakuję, jak kiedyś dawno w dzieciństwie, gdy zobaczyłam mysz. To, co się rusza, ma płaską twarz i wąskie zaropiałe oczy. Nos nie przypomina nosa, ani usta – ust. Z wielkiej głowy wyrasta małe ciało, ręce i nogi, słabe wypustki.

– Nie bój się, to Umu – mówi kobieta.

Nie ma wątpliwości, trafiłam dobrze, to ona. Sadza Umu, podpira go wyblakłymi poduszkami, poprzecierana na szwach jest ich uroda, dawno zanikł na nich fantazyjny wzór. Więc go podpira, gdy mówię, ściera mu z twarzy pęcherzyki śliny, gładzi go po nieforemnej głowie i odwraca tak, żeby mógł nas widzieć. Jego oczy są wiecznie mokre – wyciera mu policzki rąbkiem fartucha.

– Wiem – mówi w końcu. – Zrobiłam jej mapę podróży, naszkicowałam jej drogę. Tyle mogłam zrobić, nie dała się zatrzymać.

Uderza mi do głowy fala ciepłej krwi, zalewa mi oczy. Więc ona wie i nic nie robi? Więc wie? I sadzi tu sobie te swoje sałaty, gdy ja biegam w kółko, szukając pomocy.

Tak, krzyczę, krzyczę na tę starą kobietę, a ona patrzy na mnie spokojnie, ogień w jej oczach trochę przygasa, lecz ich wyraz jest lekko ironiczny, złośliwy. Patrzy na mnie i to małe monstrum, które siedzi podparte poduszkami – władca świata, dziwaczny cesarz z mokrą twarzą. A zwabieni moim krzykiem, wychodzą skądś inni, jakieś kreatury, dziwadła, chimery, chwiejne i kalekie, wycierają pobrudzone ziemią ręce, stają w milczeniu i też patrzą, jak się pieklę. Na ich widok mój głos zamiera. Takich współpracowników ma więc ta kobieta! Nie tak ją sobie wyobrażałam – miała być ta dobra, ta mocna i silna, a to jest koszmarne przytułek, a ona jest jędzą wśród monstrów. Baba-jaga i jej pomocnicy. Karły i poronione płody, famulusy, hybrydy i chimery.

Podchodzi do mnie i dotykiem uspokaja moje usta.

– Nie krzycz więcej – mówi spokojnie. – Nie krzycz, nic nam po twoim krzyku. Wszystko jest w porządku.

Daje głową znak kalece, a ta stawia przede mną koszyk, już zniszczony, upleciony z czerwonej trzciny. Patrzy na mnie teraz prawie natarczywie, potem uchyla wieko.

– Spójrz, moje dziecko – mówi.

Ja, Nina Szubur, ja, która opowiadam, która jestem, muszę się cofnąć, zrobić krok do tyłu.

Istnieje potężne zdanie, silne jak świat, jak bomba. Zdanie zakłęcie, zdanie odkrycie. Można je wypowiedzieć z przekonaniem tylko raz w życiu, później samemu się w nie nie uwierzy. Uznaje się je za kłamstwo, za pobożne życzenie, za śmieszłą prowokację, za sen. Wypowiadam je mimowolnie wtedy, gdy pokrywa kosza już się odsunęła i kiedy tam patrzę i wzrok już rozróżnił szczegóły, choć oko nie rozumie, co widzi. Ale już za chwilę wiem wszystko, znam całość, pojmuję, chwytam, miarkuję, a to, co wiem, jest tak proste i całkiem oczywiste, że cofa mnie ta wielka siła i z osłupienia mój krok robi się chwiejny. Muszę się przytrzymać stołu z rozsadam, drżą razem ze mną plastikowe doniczki, trzęsą się roślinki. Wydaje mi się, że to zatrzęsły się wokół mnie wszystkie szklarnie, grzmia szkła inspektów, że to grom przeszedł przez niebo albo z zarośniętego burzanami lotniska odważył się wystartować wielki antyczny samolot.

I teraz ja, Nina Szubur, ja każda, która opowiadam, ja człowiek, tracę mowę, więc jest tak, jakbym straciła rację bytu. Nie umiem opowiedzieć nic, nie znajduję słów. Jak mi dalej będziecie towarzyszyć, skoro nie potrafię nazwać tego, co zobaczyłam? Jak można mi ufać? Czy pójdziecie ze mną dalej w tej historii, w tej opowieści z dziurą w środku?

Wiek kosza zamykają zwinne ręce kobiety bez brzucha. Stoję nad nim wstrząśnięta, lecz czuję ulgę. Więc to tak. Już się nie boję. Ninma się śmieje, odsłania zęby, robi się przez to młodsza. Przez chwilę przypomina suchą jak trzcina dziewczynkę. Wrywa dla mnie ostre rzodkiewki, ocieram je z ziemi i gryzę, strzelają mi w ustach. Daje mi płatki zielonej sałaty, delikatnej i aksamitnej. Już pakują Umu do dziurawego wózka, podpierają poduszkami i ruszamy wszyscy wzdłuż inspektów; ona pierwsza, z kijem i koszykiem na plecach, a za nią tamci, i wózek. Otwiera przede mną oszklone pokrywy hodowli, pokazuje mi wczorajsze nasiona zmienione w przecinki kielków, pierwsze listki. Wielkie drzewa rozmiarów paznokcia, rozłożyste lipy podobne do marnej pietruszki, tysiącletnie sekwoje, które teraz wyglądają jak żdźbła trawy. Gdy człowieczek o słabych

nogach nie może już iść za nami, Ninma bierze go na ręce i sadza sobie na biodrze, niczym niemowlę. Jest silna i szybka. Wyciąga rękę i kijem pokazuje mi daleki hangar.

– Tam właśnie idziemy – mówi. – Anna In przyszła do mnie i mieszkała tu w szklarniach przez kilka miesięcy, zajmowała się Umu. Pytała wciąż o siostrę, o grobowce. Stąd, z daleka, miasto wygląda niewinnie, jak zabawka, którą można wziąć do kieszeni i uchronić przed nieszczęściem. Z daleka łatwo jest snuć wizje naprawy. W myślach zaczęła rozmawiać z siostrą i ta jej odpowiadała. Odezwała się w jej uchu, w głowie, we śnie. Całe dni rozmawiały w ten sposób, całe noce. Widziałam w mroku jej otwarte oczy, które przewiercały noc na wylot, robiły w niej dziury.

Scalę świat na nowo, otworzę grobowce, powiedziała do mnie i poprosiła o mapę.

Ani jej nie odwozili, ani nie namawiałam. Patrzyłam, jak niespokojna błądzi między inspektami, muska ręką czubki roślin. Wiedziałam, że i tak tam pójdzie.

– Próbowalaś kiedyś zatrzymać Annę In? – pyta.

O tak, wiem, o czym mówi.

– Nie udało jej się – szepczę. – Wydałaś ją na zgubę.

– Na zgubę? – powtarza po mnie. – Jeżeli wyjdzie stamtąd żywa, bez względu na cenę, będzie to znaczyło, że wygrała, że złamała srogie prawo ojców. Poszła drogą ludzi, stała się jak oni, przetarła im drogę.

– A jak nie wyjdzie? – pytam.

Bierze mnie za rękę, przyciąga do siebie, kościstym palcem celuje w serce:

– Wrócisz teraz na górę do ojców. Staniesz przed nimi bez żadnego strachu. Powtórzysz im moje słowa, dobrze je zapamiętaj. Powiesz im, że jeżeli Anna In nie wróci, nie ruszę już palcem, że znieruchomieję, że przestanę dbać o wszystko. Powiedz im, że dopóki ona nie wróci, nie wzejdzie ani jedno nasiono, magazynów nie opuści najmniejsze pudełko zapalek, najbardziej koślawy sprzęt. Że ustaną pory roku, a słońce zatrzyma się w pół drogi, będą rządzić pustym światem, świecić samym sobie. Wszystko zamrze. Zatrzymają się fabryki i stanie cały transport. Na nic nie zda się ich logistyka. Będą podliczać puste kolumny, dodawać zera.

Żaden instrument nie wyda dźwięku, nuty będą głuche, zapanuje cisza. Zniszczę części mowy, pomieszam języki. Nie padnie żadne słowo, nikt nie będzie w stanie ułożyć sensownego zdania. Będą co najwyżej powtarzać w nieskończoność swoje nudne „Jestem”, lecz ono nic już nie poruszy. Windy nie będą jeździć ani w górę, ani w dół, ani na boki, riksarze przestaną wozić, służący podsuwać stołeczki, skończy się papier do prowadzenia rachunków i wypiszą się wszystkie długopisy, kable uschną, rury opustoszeją, zardzewieją kurki, woda przedrze się przez skruszałe zapory i zaleje poziomy miasta, powietrze strzaska szyby w oknach, dostanie się do wnętrz gabinetów, rozwieje stosy faktur; ziemia, nieuprawiana, ruszy ze swojego miejsca i zasypie tunele metra, prąd opuści gniazda elektryczne, ogień zajmie biblioteki. Spalą się celuloidowe klisze, zamilkną telefony, oślepną ekrany. Nikt nie będzie przestrzegał ich praw, unieważnią się granice, zatrą rozkłady jazdy i kursy dolara. Ludzie jednego dnia opuszczą miasto, zdziczeją. Tak zrobię.

A gdy to mówi, jej oczy żarzą się tak, iż można być pewnym, że słowa dotrzyma.

– Czy to zapamiętasz, Nino Szubur? Czy powtórzysz im to słowo w słowo?

– Jakżebym mogła zapomnieć? – szepczę z przejęciem.

Odprowadza mnie ten dziwny pochód na granice starego lotniska, turkocze wózek, jego koła, nierówne, grają na betonowych płytach na dwa głosy. Lecz zanim opuszczę to wietrzne, puste miejsce, otworzy przede mną ta kobieta jeszcze jedne drzwi małej szklarni, całkiem na uboczu. Jej szyby przyciemniono czarną folią, dlatego od wejścia uderza mnie w nozdrza gęste, wilgotne powietrze, zapach ziemi i ozonu, jak po burzy. Oczy powoli oswajają się ze srebrnym światłem, mlecznym, księżycowym.

W równych rzędach rosną małe sadzonki, sadzonki ludzi, wiotkie i delikatne, ciasno obciążnięte błonką. Kołyszają się w srebrnym mroku. Są jak nocne grzyby, szare i kruche, ich postaci jeszcze niewykształcone, ręce przytulone do ciała, nierozwinięte, zawiązki rąk. Na cienkich szyjach śpią małe główki. Twarzy jeszcze nie ma, zaledwie zarysy twarzy, zamknięte oczy, powieki przyrastają do policzków. Żadnych jeszcze myśli,

żadnych żalów ani zmartwień, może sny, może proste zmysły, życie wewnętrzne sprowadzone do prostych tropizmów – badać ruch powietrza, chłonać wilgoć, szukać światła. Póki rosną, nic ich nie obchodzi; nie ma na co patrzeć, gdy rosną. Widziałyby tylko, jak świat ogromnieje, jak puchnie i coraz większy jest jego rozmiar, to oczywiste, że za duży na człowieka. Są ich tysiące, równe grządki, setki i tysiące grządek.

– Tych robię ze światła i najczystszych ziemskich minerałów, z rtęci i srebra – mówi czule ta stara kobieta. – Są lekcy, ale potrafią zapuścić korzenie. Są spokojni, ufni, jak rośliny, ale nie są głupi. Są wolni, ale nie lgną ślepo do siebie. Są niezależni, ale nie samotni. Nie walczą ze sobą, nie zjadają innych stworzeń. Zaopatrzyłam ich w mały śmieszny instynkt – wspierają się nawzajem. Im więcej sobie dają, tym stają się silniejsi. Próbowalam urządzić im zawody, lecz nie dało się rozstrzygnąć biegu, bo czekali na siebie przed metą. W meczu uczynnie podawali sobie piłki do bramki, chcieli zawsze remisu, grając w szachy, uprzedzali o następnych ruchach. – Ninma uśmiecha się i na jej twarzy pojawia się czułość. – Wysadzam ich za miastem, w ruinach, w ukryciu, wynoszę ich w koszach poza granice miasta i wypuszczam na wolność, po trochu, ci będą inni, będą wiedzieć więcej, ich miasta będą szczęśliwe, rozległe i czyste, będą szli dalej – mówi Ninma z dumą. – Nie mów o nich ojcom. Rozboli ich głowa.

Gdy stajemy naprzeciwko siebie, żeby się pożegnać, kobieta daje mi kosz, wkłada mi go na plecy, ściąga ciasniej sznurki.

– Wystarczy, żeby go widzieli, nie musisz go otwierać – mówi i całuje mnie w czoło, jej usta są ciepłe i suche, jaszczurcze.

Groźba

Droga z powrotem trwa krótko, bo mnie, Ninę Szubur, przyjaciółkę Anny In, popycha dobra wiara. Nadzieja wypełnia mi serce, krew krąży szybciej, wydaje mi się, że mam skrzydła u stóp, że po obu stronach kosza na plecach wyrosły mi skrzydła. Że mam skrzydła zamiast uszu i że moje powieki trzepoczą jak skrzydła. Jestem skrzydłami.

W mieście jest niespokojnie; na dolnych poziomach jakieś zamieszanie. Podobno riksarze i mechaniczni porządkowi na kółkach podnieśli bunt. Nikt nie wozi ludzi, nie sprząta ulic, i to przed festynem! Windy, pełne rozeźlonych tym chaosem ludzi, trzaskają w szwach. Powinno się wreszcie zrobić z tym porządek... żeby nie można było dojechać do pracy... to skandal... i na co idą nasze podatki...

Kieruję swoje kroki do księgowego, w górę i w górę. Powtarzam w myślach groźby. Znam już na pamięć każde słowo, teraz ćwiczę głos. I pewnie dlatego zaczyna mi się zdawać, że już raz niosłam tę wieść, już ją powtarzałam, a może nawet nie było to raz, ale więcej razy – tysiące razy pięłam się w górę z koszem na plecach, z groźbą, która dojrzewa mi w gardle, i gdybym jeszcze trochę wysiliła umysł, znałabym już koniec tej przygody. To zmęczenie, Nino Szubur, mówię do siebie, pokonując schody, kręte i wąskie, bo windy są całkiem przepełnione. To ze zmęczenia, ze stresu, mózg podwaja te same bodźce, myli się w rachunkach.

Teraz wchodzę już bez pytania, nie czekam na wezwanie. Ja dyktuję warunki – nie pukam, nikt nie anonsuje mojej wizyty. Zaskoczeni służący odsuwają się od drzwi.

– Więc ty tu znowu? – pyta zaskoczony najstarszy. Mierzy do mnie jednookim ołówkiem. Ołówek też mruga zdumiony. – Przecież ci mówiłem... – zaczyna księgowy.

Nie będę go słuchać. Znajduję w tym przyjemność – w recytacji groźby, zupełnie tak, jakbym mogła jej dopełnić. Jakbym to ja była tą, która rzuca klątwy, której głos może obudzić śpiące wulkany, której śpiew wzrusza ziemię. Znajduję przyjemność w mojej ponurej litanii, jak w lamencie, jak w posypywaniu popiołem, jak w smaku potraw przygotowanych na stypę. Wymawiam śpiewnie jej imię: Anna In, In Anna, Inanna, Inannainanna.

– Przestań zawodzić. – Krzywi się z niesmakiem, ale gdy odwracam się, żeby pokazać mu kosz na plecach, milknie. Jego oczy robią się jeszcze większe, jego wzrok nieobecny. Zanurza się w sobie, tam szuka pomocy, chyba już wie, co usłyszy.

– Skąd to masz? – pyta niepotrzebnie.

Mówię:

– Powiedziała, że nie stawia się do pracy, dopóki nie wróci Anna In. Że nie wszędzie ani jedno nasiono, magazynów nie opuści najmniejsze pudełko zapalek, najbardziej koślawy sprzęt. Że będziecie rządzić pustym, zamartwym światem, świecić samym sobie. Wszystko zamrze, tak kazała powiedzieć. Zatrzymają się fabryki i stanie cały transport. Na nic się nie zda cała wasza logistyka. Będziecie podliczać puste kolumny, dodawać zera. Żaden instrument nie wyda dźwięku, wasze nuty będą głuche, zapanuje cisza. Nie padnie żadne słowo, nikt nie będzie w stanie ułożyć sensownego zdania. Będziecie co najwyżej powtarzać w nieskończoność swoje nudne „Jestem”. Windy nie będą jeździć ani w górę, ani w dół, ani na boki, rikszarze przestaną wozić, służący podsuwać stołeczki, skończy się papier do prowadzenia rachunków i wypiszą się wszystkie długopisy. Uschną kable, rury opustoszeją, zardzewieją kurki, woda przedrze się przez skruszałe zapory i zaleje poziomy miasta, powietrze strzaska szyby w oknach, dostanie się do wnętrz gabinetów, rozwieje stosy faktur; ziemia, nieuprawiana, ruszy ze swojego miejsca i zasypie tunele metra, prąd opuści gniazda elektryczne, ogień zajmie biblioteki. Spalą się celuloidowe klisze, zamilkną telefony, oślepną ekrany. Nikt nie zrozumie już waszych praw, unieważnią się granice, zatrą rozkłady jazdy i kursy dolara. Ludzie jednego dnia opuszczą miasto, zdziczeją. – Mówienie sprawia mi przyjemność, podnoszę głos, potrząsam głową, nawet zdaje mi się, że księgowy się cofa, że kurczy się w sobie jak ostryga polana sokiem z cytryny.

– Tak? Tak? Czyżby? – powtarza, zmieszany.

Widzę, jak pociera w zadumie swoją pięknie uczesaną, splecioną w tysiące warkoczyków brodę, trze policzki. Ogląda swoje dłonie, jakby je widział pierwszy raz w swym długim życiu. Krople potu ze szlachetnego czoła wyciera rękawem.

– Gorąco – tłumaczy się. – Tak powiedziała? – upewnia się najstarszy. – Coś takiego – udaje, że nie wierzy. Zapada w swoje długie milczenie; stoję przed nim prosta jak kij.

– Widzisz, Nino Szubur, wyszłaś wtedy za wcześnie. Może dałoby się coś zrobić. Gdy się pomyśli, to jest to możliwe. Czasem sam zapominam, co naprawdę mogę, i takie zdarzenia są właściwie dobrym pouczeniem. Czy wszakże nie jestem wszechmocny? Dziwne, żeby o tym zapomnieć. Mam pamięć absolutną – chwali się. – Pamiętam liczbę komórek każdego zwierzęcia, przeznaczenie każdego chromosomu, zadanie każdego genu, wiem, jak działają cztery zasady: bierze się żywioły, to pierwsze, ugniata się w palcach, to drugie, wysnuwa się wątki, to trzecie, i w końcu się tka; to proste.

Stuka w klawisze, sapie nad klawiaturą. Wyciąga ze starych szuflad plany miasta, pewnie szuka tajemnych przejść.

– Tak powiedziała? No coś takiego... – mówi do siebie.

Siadam na małym stołku, kleją mi się oczy, głowa opada mi na piersi, zaraz usnę, jestem taka zmęczona, ale do przytomności przywraca mnie ruch przy drzwiach – oto przybyli pozostali dwaj ojcowie, suną na platformach, ogromni, popychani przez rzesze małych służących pchaczy. Trzeba nawet zdjąć jedne drzwi z zawiasów, żeby mogli się zmieścić, odsunąć meble. W trzech radzi im się lepiej.

– Musi tam coś wejść i nakłonić tę... Drugą Stronę – mówi gramatyk. Nie pada żadne imię.

– To coś czy ktoś nie może być żywy, bo spotka go żalosny los śmiertelnika. Ale musi działać.

– Maszynka. – Księgowy rozumie. Wali dłonią w blat stołu, aż trzęsą się szklane ściany. – Zrobię podstępna maszynkę.

Martwi się o materiał, szpera w szafkach, sprawdza kosz na śmieci, aż w szufladach znajduje trochę okruchów, śrubek z ułamaną główką,

spinaczy, drucików, odpryski farby, metalu i rdzy. Mimo wieku jego palce zachowały giętkość, są ruchliwe i szybkie. Ugniata to wszystko w czarne drobne kulki, które pod jego dotykiem zmieniają się w ruchliwe ciała; z lekkiego kurzu ściśniętego między opuszkami palców powstają delikatne płatki, cienkie błonki. Gramatyk, pomagając sobie koniuszkiem języka, przytwierdza je do ciał, wrastają bez oporu, poruszają się szybko, po kilku nieudanych startach słychać bzyczenie, najpierw urywane, nierówne, potem doskonałe; najlepsze miniaturowe silniczki. To wygląda jak muchy. To muchy. On robi muchy! Już oblaży mu ręce i kręcą się nad jego głową.

Siadam z podziwu.

– Trochę wody i minerałów, żadna sztuka – kryguje się księgowy. – Nie są żywe ani martwe. Dlatego będą mogły wejść do grobowców, przecisnąć się przez szpary i przez dziurki od klucza we wszystkich siedmiu bramach. Neti ich nie wyczuje. Ale nie wolno wam tam tknąć nic do jedzenia, nic do picia. – Grozi im palcem. – Istniejecie tylko na pół gwizdka. Żadnych żalosnych ekscesów żywej istoty – mówi do much.

Cieszą się choćby i z tego. Cieszyłyby się i z jednej trzeciej, i z ćwierci. Odpowiadają coś bzyczeniem. Lepiej jest być, niż nie być – nie mają wątpliwości.

Księgowy widocznie rozumie ich język, bo odzywa się nagle:

– Wyjdzie wam na dobre ta niedoskonałość. Annę In, In Annę, mogą przywrócić do życia tylko dwie esencje świata: kurz i woda – mówi, ale chyba powiedział już za dużo, wygadał się nieopatrznie.

Patrzy nieufnie na mnie, Ninę Szubur, na służących pchaczy i zaczyna szeptać. Wygląda to tak, jakby mówił do siebie. Mówi do tych niby-much.

Muchy

Moja biedna pani, moja droga landlady, leży na sofie obciągniętej ludzką skórą, ma zmierzwione włosy, nieczesane od kilku dni, jej włosy zamilkły. Jest chora od tego fatalnego zdarzenia. Ja, Neti, ja kupa kości obciągniętych włóczką, ja każdy, który opowiadam, nie śmiem do niej podejść. Nie wiem, co się stało, nie rozumiem tego. Osłabła, jej myśl powraca uporczywie w jeden punkt, tam widzi siebie, swoje ciało, jak topi się niczym kawałek lodu – i wsiąka w ziemię. Skoro nieżywy jest orzeł, umrze i reszka. Nie cieszy jej widok mężów wypchanych trawą, syntetyczną gąbką ani tych najnowszych – w pleksi. Ani zabawy pajaków. Ani skorki, ani miażdżenie ich jednym ruchem dłoni. Nie wiem, co mam robić.

Mieliśmy tu konsylium, udało nam się wyciągnąć z głębokich czeluści najlepszych lekarzy. Zjawili się nagle ożywieni, lecz niezbyt przytomni. Odgrzebywali z pamięci zakurzone diagnozy. Badali jej puls, oglądali oczy, niedokładnie, bo przez jej ciemne okulary. Orzekli: Nie pracuje jej pół wątroby, serce bije tylko co drugie uderzenie, tylko pół żołądka działa, jedno płuco. Nie poradzi tu żadna medycyna.

A ona wije się z bólu i zawodzi, trzyma się za brzuch, masuje tętniące od bólu nogi i ręce.

– Czy ktoś mi pomoże?! – wścieka się.

Co mam zrobić, moja dobra landlady, jak ci pomóc? Przynoszę herbatę, wachluję ją skrzydłem martwego ptaka. Lecz od tej bezsilności czuję się winny, słaby. I widzę, że sędziowie najchętniej wybraliby się na urlop zdrowotny. Za dużo się tu działo ostatnimi czasy. Chowają się po kątach. Obym nigdy, przenigdy, nie ujrzał tej jasnej i suchej kobiety. Obym nigdy nie uchylił jej bramy. Obym lepiej oślepl. Tu, w podziemiu, wzrok jest niepotrzebnym luksusem, po co nam oczy w tym ciemnym świecie. Znam

tu wszystko na pamięć, radziłbym sobie dotykiem, opuszkami palców wymacał każdy nowy dzień. Mogłem odwrócić się wtedy od drzwi, gdy przysła. Mogłem jeszcze podeprzeć bramę belką. Zastawić kamieniem.

– Boli mnie, wszystko mnie boli – zawodzi moja pani, a gdy podaję jej kubek z herbatą, wytrąca mi go z dłoni. Ściskam się mocniej sznurkiem.

Muchy. Teraz na dodatek muszę od niej odganiać muchy. Skąd tu muchy? Jedną łapię, ale kiedy jej się bliżej przyglądam, widzę, że to jakiś podziemny mutant, nie zwykła mucha. W życiu nie widziałem much w tym miejscu. Kręcą się wokół niej, siadają na jej twarzy, powiekach i ramionach. Próbuję je odgonić, robię sobie miotelkę z jakiegoś zgubionego w ferworze śmierci ogona, macham nad jej twarzą. Ale ona, o dziwo, protestuje:

– Zostaw je, Neti, dają mi ulgę.

Ulgę, w jaki sposób? Czyżby chodziło o pieszczotę ich łapek na jej szyi, na powiekach. Kojące bzyczenie? Nie przyniosły jej ulgi moje wachlowanie, moje herbaty z porostów, moja troska, a chwali muchy. Chodzą po jej twarzy, z kącików oczu spijają ciepłe zawiązki łez, bawią się w jej włosach. Ruchomymi czarnymi pieprzykami zdobią jej twarz. Przykrywają ciało mrocznej pani wibrującym pledem. Jej jęki ucichły, sędziowie wyszli spod stołów i z kątów, liżą sobie ścierpnięte łapy. I ja się biorę do moich robótek. Niebawem, niebawem – ukoili ją muchy. Ani ja, stary sługa, ani wierne psy, lecz muchy przybłądy. Jak się tu dostały?

Dziwi się też ich obecności moja pani, dobra landlady, unosi się na poduszkach wypchanych ludzkimi włosami, wspiera na poręczach z ludzkich kości.

– Co to jest? Kim wy jesteście? Dlaczego tak nade mną lamentujecie? – mówi. – Wszyscy raczej cieszą się, gdy cierpię, chcieliby, żebym umarła z bólu, gdyby to było możliwe.

Patrzy na mnie, wydaje mi się, że widzę w jej wzroku wyrzut. Myle oczka, kłuję się z wrażenia szydełkiem.

– I ja sama chciałabym umrzeć, gdyby to było możliwe – szepcze. Kulę się od tych słów, przecież ona nie może umrzeć.

Siada na sofie, zaciekawiona, wyraźnie w lepszej formie.

– Kim jesteście, dobre duchy, dobre muchy? Neti, podaj im coś do jedzenia, nakarm naszych gości.

Ruszam się niechętnie. Nie po to tu jestem, żeby usługiwać insektom. Lecz goście, na szczęście, dziękują grzecznie, nie będą jeść.

– Podaj im wina, gęstego i czerwonego – mówi moja landlady.

Ale one nie chcą pić.

Nikt mojej pani, mojej dobrej landlady, nie dotykał, nie gładził jej policzków, nikt nie bawił się jej rzęsami, nie łaskotał warg. Baliśmy się jej wszyscy. Nikt nie zaglądał jej w oczy, jej źrenice nic nie odbijały, toteż zaczęła je zasłaniać ciemnymi szklami. Jej mężowie – oni zawsze byli przerażeni, odwracali wzrok. A teraz te muchy przybłądy, gdy ona jęczy, odpowiadają jej. Gdy ona mówi: Boli mnie, one bzyczą i brzmi to jakby: Boli cię, boli. Gdy ona lamentuje: Nie mogę tego znieść, one powtarzają: Tak, to trudne do zniesienia. Trudno to znieść. Nic, tylko tyle, żadna tajemnica. Kiedy ona płacze z bólu i wściekłości, one cienkimi głosikami bucą: Biedna podziemna istoto, jak cię boli, jak bardzo cię boli.

Ja, Neti, ja kupa kości obciążniętych sznurkiem, ja każdy, który opowiadam, nie jestem głupi. Chociaż moje oczy nie widziały ze świata zbyt wiele, chociaż nie spędziłem młodości w bibliotekach, wiem, o co tu chodzi. Słyszałem już to słowo, ono już tu padło, ktoś je wypowiedział nieśmiało, pewnie jakiś zmarły – „współczucie”. Domagał się współczucia. Lecz bogowie go nie znają. Znają wszystkie inne uczucia świata, ale tego nie. Żeby współczuć, trzeba być samemu słabym i znać cierpienie; trzeba upaść, przewrócić się, trzeba umieć płakać. To chyba niewiele – poczuć ból na sobie, wziąć na siebie ciało, jedyne, jednorazowego użytku, plastikowy kubek, który po zużyciu wyrzuca się do śmieci. Zęby, które wypadły, już nie odrosną – wiedzieć to. I znać całą prawdę o kościach – będą boleć, nie ma na to rady. Ja to wiem, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ją może boleć.

Moja pani płacze.

Dzisiaj nie będzie procesów o winę, dzisiejszym zmarłym wyznaczę inne terminy rozprawy. Niech wrócą do swych słabych ciał na szpitalnych stołach, pod koła pojazdów, niech się zerwą ze sznura, niech zawrócą w pół drogi. Macie czas na naprawę błędów, na porządki w szufladzie, przeprosiny i zaległe rachunki. Idźcie dziś do domów, jutro was

wezwiemy. Bo moja pani, moja wielka pani, płacze. Ta, której wzrok zamienia w kamień, ta, której krzyk ścina ziemię mrozem, ta z naszyjnikiem z czaszek, ta z kolczykami z pieszczeli, której stopy zostawiają ślady w skale, nienasycona, która nigdy nie śpi, przed którą każdy mały promyk światła kuli ogon. Ona płacze. Obym oślepl tamtego dnia, obym okulał i nie mógł wstać na nogi, oby rozwiązały się troki mojego swetra i obym rozsypał się na kawałki. Klękam przy niej, głaszczę jej stopy.

To podstęp, wiem. One chcą ciało tej martwej dziewczyny. Bzyczą jej do ucha te muchy:

– Chcemy to ciało, które wisi na haku, oddaj je nam – mówią. – Podoba nam się to martwe ciało, ta przegniła dziewczyna. Chcemy je.

– Neti, oddaj im ciało – mówi moja pani. – Podobno muchy gustują w padlinie. – Unosi okulary i wyciera oczy. – Oddaj im ciało.

Niebywałe, niebywałe, myślę, ale nie mam odwagi zaprotestować. Najpierw kazała ją wpuścić, a teraz oddaje jej ciało. Wszystko to podstęp.

Anna In, In Anna. Ciało Anny In, zdjęte z haka i rzucone na ziemię – straszny to widok. Moja pani nie pozwoliła go sprzątnąć, leży tu trzy dni. Jest sine i sztywne, twarz nie przypomina już twarzy, lecz bladą maskę, i piękne włosy straciły swój blask – stały się matowymi postronkami, lnianymi sznurkami splecionymi w warkocze. Paznokcie są czarne, skóra ma kolor popiołu. Nawet psy o wielkich oczach, które przecież widziały już wszystko, odwracają wzrok od tego ścierwa.

Muchy lądują na tej martwej twarzy, dwa czarne punkty, nacierają martwe powieki kurzem, łapki mają jeszcze mokre od czarnych łez mojej pani, mojej landlady; robią to cierpliwie, jakby namaszczały Annę In różanymi olejkami, najdroższym balsamem, który cofnie czas, przywróci jej skórze gładkość i rumieńce, nowy rodzaj liftingu, robią to z całą miłością, jaka może się zmieścić w ich małych, owadzych, nieprawdziwych ciałach.

Wtedy Anna In mruga, a jej ciało drży.

Niebywałe, niebywałe, szepczę, ja, Neti, odźwierny. Chowam się za mokrą kolumnę, wyglądam zza niej z szydełkiem w ustach. Patrzą i nie

wierzę własnym oczom! Nigdy nie widziałem takiego cudu – żeby to, co umarłe, mogło ożyć. I psy o błoniastych łapach usuwają się w najgłębszy cień, zbite w stadko spoglądają na to przedstawienie ze zgrozą, z niepokojem patrzą na swoją panią. Jakże to? Pozwoliła złamać najsroźsze prawo? Kto za to zapłaci? Jak to się zapisze w rejestrach śmierci – kto winien, a kto ma?

Wolałbym oszczędzić wszystkim tej strasznej sceny, kto wie, czy nie najgorszej z możliwych. Lepiej było mi opowiadać jej śmierć. Łatwiej byłoby mi powiedzieć „zbladła”, „upadła”, „osunęła się”, „przestała oddychać”. Jak to powiedzieć w drugą stronę, pod prąd czasu? Jak powiedzieć, że nagle w jej płucach pojawił się oddech i to pierwsze westchnienie było przerażające? Gdy poruszyła się jej klatka piersiowa, drgnięcie pod skórą, drżenie palców. Skąd przyszło to coś, to życie? Gdzie było do tej pory?

Anna In, Inanna, jej ciało, podnosi się i staje na czworakach, podobna do zwierzęcia, jej oczy są puste, twarz obwisła, bez wyrazu. Robi kilka chwiejnych kroków, w stronę psów sędziów, a one umykają pod ściany, chowają się za kamienie, ich wielkie oczy widzą coś, czego jeszcze nie było, widzą to pierwszy raz i nie zapomną. Zapewne w swoich rejestrach zapiszą skrupulatnie tę ewangelię. Cofa się nawet jej siostra, teraz widać, jak są do siebie podobne. Tak, są jednakowe.

Przykry to widok, skóra Anny In obwisa, pęka przetarta na łokciach i ramionach, widać tam szare kości, jej twarz jest prawie czarna, obrzmiała, jej piersi, kiedyś podobne do twardych jabłek z hodowli jej ukochanego, teraz wyglądają jak popsute owoce.

Muchy kręcą się wokół jej głowy – oto ma swoją aureolę – wchodzi jej do oczu.

– Wstań, Anno In, wstań, Inanno.

Podnosi się z wysiłkiem i chwieje, słaba. Trudno jest wyrwać śmierci wszystkie kawałeczki życia od razu, trzyma je jak sznurek, ciągnie w swoją stronę. Ale Inanna z każdą chwilą jest silniejsza, każdy oddech napęnia ją

mocą. Gdy otwiera oczy, one są barwy popiołu, wyblakłe, coś ją oślepiło tam, gdzie była; jej oczy to meduzy wyrzucone na brzeg morza.

Ja, Neti, ja, który opowiadam, ze ściśniętym sercem niosę jej wilgotny kawałek płótna, owijam jej nagie ciało. Nie wiem, dlaczego to robię. Może i mnie się udzieliła ta nowa choroba – to współczucie.

Wieści rozchodzą się po grobowcach jak woda, przesiąkają przez grube mury, spływają strumykami na wszystkie poziomy, grobowce wibrują, słysząc wzburzone głosy, walą w ściany martwe pięści, to bunt. Kościane palce grzebią przy ryglach i zamkach, próbują zamienić się w klucze.

– Nie możesz jej wypuścić – mówią do swej pani wielkie psie oczy, które widziały wszystko. – Nie możesz złamać prawa. Jeżeli ona ożyła, wszyscy będą chcieli zrobić to samo, ruszą wielkie tłumy zmarłych i zaleją miasto, będą się włóczyć po ulicach, obsiadą stacje metra, wypełnią kina, będą nocować w parkach i na skwerach. I żywi nie będą chcieli umrzeć, będą się wyrwać, uciekać ze śmiertelnych łóżek, podważać wieka trumien, czmychać z kostnic, ściągać z wieszaków co lepszą odzież, przykrywać swoje nagie kości, kąpać się w fontannach, zatruwając wodę, domagać się od parlamentów specjalnych podatków na zmarłych, niech będzie sprawiedliwie, dlaczego dobrze mają żyć tylko żywi, a nie zmarli, i trzeba będzie zmieniać wszystkie konstytucje i prawa człowieka. Nie wolno ci tego robić!

Nieprzenikniony jest wyraz ciemnej twarzy mojej pani. Jej usta poczerniały. Szkła w okularach odbijają scenę zmartwychwstania w dwóch obrazach, podwójnie. Już zaczyna się mnożyć ta zgroza, drżą fundamenty miasta.

– Nie – krzyczy nagle siostra Inanny, Pani Druga Strona. – Stop. Zatrzymaj się. Cofam swoje słowo.

Lecz Inanna stoi przed nią, jeszcze chwiejna, ale żywa. Już za późno.

– Nie możesz odejść, rozmyślałam się – krzyczy moja pani.

Muchy, te sztuczne istoty, zatrzymują się w powietrzu przy głowie Inanny. Protestują.

Domyślam się, co mogą mówić: Smarowałyśmy je twoimi łzami i to ciało ożyło. Nacieraliśmy kurzem – i ono ożyło. Nie możesz cofnąć słowa. Nie można umrzeć dwa razy.

– Niech da nam kogoś w zamian – mówi moja pani po długim milczeniu. Jej łzy już obeschły. Przestało ją widocznie boleć, gdy Inanna stanęła na nogi. – Musisz znaleźć kogoś, kto przyjdzie tu za ciebie. – Wie, że to niemożliwe. Nikt się nie zgodzi. Widzę, jak wraca na jej oblicze grymas wściekłości, znów jest taka, jaką ją znam; oddycham z ulgą. Unosi się z kanapy, podchodzi do siostry, jest świadkiem, jak pod skórą opornie startuje rytm tętna. Jej ciemne szkła uważnie badają twarz tej drugiej. Moja pani już dokonała wyboru. W rzeczywistości tym językiem, którego nie słyszeć, wymienia jedno imię. – Takie zmartwychwstanie nie może być bezkarne. To wiele kosztuje.

– Nie – mówi słabo Anna In, to jej pierwsze słowo. – Nie, tego nie. Przyprowadzę ci mnóstwo chętnych, będziesz mogła wybierać. Będą się dobijać do twoich drzwi. Moi kochankowie, moje przyjaciółki, fryzjerzy, masażyści, mam wielu przyjaciół, kochają mnie.

– Tak sądzisz? – Moja pani jest nieufna, przez te długie lata każdy pozwany przed nią przedstawiał się tak samo: jako dobry, kochany, czysty jak łza. – Chcę jego!

Inanna już mocno stoi na nogach.

– Nie. Jego nie – powtarza z uporem. – Wszystkich, ale nie jego.

– Dam ci świtę, orszak, niech pójdzie za tobą, przypilnuje zmiennika, zainkasuje zapłatę za ciebie.

Drżą mi ręce, gdy przekręcam zamki, trzęsą mi się ręce, klekoczą kości w rękawach.

Niebawale, niebawale, wolałbym tego nie doczekać, obym cię nigdy nie zobaczył, obym nigdy nie posłuchał twojego słodziutkiego głosiku: „Wpuść mnie, wpuść”. Przedrzeżniam głos Inanny. Słodka panienka, głupia idiotka. Z drugiej strony drzwi słyszeć już chrobot i pukanie. Napierają na nie, ledwie odskakuję. Ci, którzy pójdą z Inanną, będą jej towarzyszyć. Będą jej patrzeć na ręce, będą ją śledzić, żeby nie zechciała umknąć, będą iść za nią krok w krok, aż znajdzie zastępcę. Ale czy znajdzie?

Oby nie znalazła, oby tu wróciła pognębiona, samotna. Oby straciła tę miejską pewność siebie, swoją arogancję. Zatopilibyśmy ją w plastiku i co wieczór przy akompaniamencie kropel kontemplowali jej żalosną gładką urodę.

Wyjście z grobowców

Zgrzyt moich kluczy odbija się echem po lochach grobowców i zaraz słyszeć walenie w drzwi, wycie i zawodzenie. A gdy zamki odskakują, rozlega się radosny chichot, słyszeć podniecone szepty i tupot nóg: idziemy, idziemy.

Jestem kustoszem w grobowcach świata, w tym największym muzeum zmarłych. Podziemnym. Zgromadziliśmy tutaj wszystkie klęski, grzechy, katastrofy, złe myśli, obsesje, koszmary i lęki. Choroby i deformacje. Mamy tu w formalinie wszelkie ludzkie potworności. Na żywo, na specjalnych wybiegach trzymamy ludzkie demony, te opętane jedną myślą albo te we władzy afektu, z klapkami na oczach, demony głupie, nieuważne, złe, zachłanne, zazdrosne; egoistów, sybarytów, leniów, kłamców i oszustów. Lubieżników, maniaków, szczerwane lisy, despotów, idiotów. Byłoby co zwiedzać – niestety nikt tu nie przychodzi.

Ja, Neti, ja każdy, który opowiadam, otwieram kolejne piętra, tak, teraz nawet sprawia mi to radość – proszę bardzo – wypuścić to, co tak długo było starannie skrywane, popsuć dobre obyczaje więzienne, złamać dane słowo, postawić wszystko na głowie, kota obrócić ogonem. Proszę bardzo, jak chaos, to chaos, jedne drzwi i następne – niech dół wejdzie na górę, a góra zejdzie na dół, niech się prawe zamieni na lewe, czarne zaś w białe.

Przodem idzie Inanna, nieszczęsna pani chaosu, trzcina na wietrze, wichrzycielka. Idzie niepewnie, nie jak bogini, nie jak dama, ale jak więźniarka, której jakimś cudem udało się w pole wyprowadzić strażników. Jej słabe ręce trzymają się mokrej ściany.

Otwieram drzwi i dopuszczam do niej pierwszą niecierpliwą horde demonów; będą w świecie. Nie są niebezpieczne, są raczej żalosne, męczące i głośnie, mokre i obdarte. Kłócą się ze sobą, trącają łokciami. Warczą, szczekają na siebie w złości. Idziemy!, pokrzykują. Przodem! Widok Inanny napawa je grozą, nawet je, które widziały już w śmierci niejedno. Wahają się teraz, blokują przejście. Puszczają ją przodem w milczeniu i tłoczą się za nią. Mam na nie szpicrutę, giętką i mocną. Świszcze, gdy rozdzielam razy.

Tą samą szpicrutą wyciągam z wody sukienkę Inanny, tę wyszywaną w dobroń, teraz wygląda jak ścierka. Tak, proszę bardzo, włóż ją, włóż ją na siebie, skoro wychodzisz! Demony chwytają się rąbków sukienki, chwytają się rąk dziewczyny; same nie wiedziałyby, dokąd iść. Wloką się za nią, ciągną, z otwartymi ustami, wsłuchane w swoje wewnętrzne głosy.

Przy następnym przejściu czeka inna grupa, to ci wiecznie głodni, nienasyceń, już się niecierpliwia. Mają drobne ciała, niepozorne, karłowate i w sumie wyglądają na elfy, a jednak mają tam w środku wielkie puste przestrzenie, ogromne place, ogromne hangary, zawsze puste. Straszna to rzecz – głód; czasem słyszeć je z dołu, wyją. Wtedy bierze mnie litość i donoszę im, co tam nam zostało z naszych rozpraw sądowych – skrawki gazet, szmatki, okruchy, drobne ludzkie śmieci. Wszystko można wessać. Kurz i pył, skrawki papieru, brudną wodę, żwir. Upychają to wszystko w sobie, przygniatają kolanem, mają się za bagaż, torbę bez dna. Mają duże oczy. Dlaczego? Żeby lepiej widzieć. Mają duże uszy. Żeby lepiej słyszeć. A usta, dlaczego takie ogromne – żeby połykać. Ich przełyk pracuje nieustannie, co raz tam wpadnie, przeleci przez nich, pozostawi jeszcze większą pustkę, głód nie do zniesienia. Macają każdy kamień, liżą poręcze schodów, żują w ustach rdzę, przypatrują się nawet łakomie sobie nawzajem. Wszystko może się stać kęsem do połknięcia, a więc i każdy. I one właśnie dołączają do naszej miłej grupy, ciągną za Inanną. Mlaskają łakomie. Opędzam się od nich, dżgam szpicrutą, bo już zaczęły lizać ściany, skubią mój sweter.

Teraz oddaję Inannie mapę i kompas, zdaje się już bezużyteczne. Przeciera szkło obrazka i od razu melduje się logo małego boga, tego, który dba o właściwy czas i miejsce. Mapa zaczyna działać, pokazuje drogę ku wyjściu.

Przy kolejnej bramie, tej, którą trzeba pokonać na czworakach, tej wielkości przejścia dla kotów, czekają czwórkami ustawione kolumny, ciche i zdyscyplinowane. Nie będę miał z nimi kłopotu. Plecaki na przygarbionych plecach, buty porządne, do wędrówki, nogi kościste, chude, a twarze jak z topniejącego wosku – kąciki ust zawsze nisko opuszczone – to żal. Wieje od nich stęchlizną, wionie od nich zatęchły zapach nadpsutego jedzenia. Myślę czasem, że to ludzkie wysypiska śmieci, a każde wspomnienie jest z plastiku, rozłoży się za tysiąc lat. Idą niepewnie i potykają się na śliskich kamieniach, podtrzymują wzajemnie, bo wiedzą, jak to boli tracić. Ktoś z nich już puścił w obieg wiadomość – podobno idą odebrać swoje.

Woda pluszcze pod setkami nóg, odbija się echem. Ja, Neti, ja każdy, który opowiadam, otwieram następne drzwi. Tu są ci, którzy chcieli nas oszukać i wymknąć się śmierci. Oddajemy im pięknym za nadobne – udajemy, że grobowce przyjęły ich tylko na czasowe przechowanie; mówimy im nawet, że wynajmują tu tylko pokoje na czas nieokreślony. *Bed and breakfast*. Lecz w rzeczywistości odebraliśmy im klucze do głównego zamka. Dlatego teraz tłoczą się przy bramie, ubrani jak na popołudniowy spacer po mieście, powtarzając sobie z ust do ust, że to ich biuro turystyczne organizuje tę wyprawę, dawno nic się nie działo. Jasne, choć nieco zwilgotniałe garnitury, słomkowe (trochę spleśniałe) kapelusze, letnie sukienki z gołymi ramionami (koronki dziurawe), peruki (wyliniałe). Bilety na koncert wykupione (choć grajkowie już dawno umarli), stoliki w restauracjach zarezerwowane (choć na ich miejscu są teraz pralnie chemiczne). Nie podoba im się przewodniczka ani jej zardzewiała kamizelka – ach, ta współczesna moda! – ani jej makijaż, nie jest ani ładna, ani młoda, w istocie to żywy trup, ale cóż, skoro mają się razem przejść i skoro dla niej otworzą wreszcie główne bramy, dlaczegóż by nie? Choćby do piekła.

Inanna idzie przodem, nie zwraca uwagi na ten smutny orszak, nawet się nie ogląda, jej jasne oczy świecą w mroku. Oddaję jej te kamyczki, błyskotki, lecz nawet one nie błyszczą, wyglądają jak żwir wyciągnięty z morza, ostre krawędzie rubinów stępiły się w wilgoci. Zgasły.

A tu oto już są następni. Każdy z nich stoi osobno, ale gotowy do drogi. Trzymają się od siebie z dala. Nie rozmawiają ze sobą, i tak się nie rozumieją. Wilgoć rozcieńczyła im mózgi, stępiły się słowa od wody. Idący tłum ich porywa, a oni nie lubią tłumy, tłum zawsze napawał ich lękiem, zbyt wiele w nim życia. Ruszają, niechętnie dołączając do innych, chlupoczą w wodzie.

Jeszcze kawałek, Neti, kupo kości, mówię do siebie. Zaraz zapanuje tutaj spokój, pozbędziesz się stąd wszelakich utrapień. Jeszcze niech dołączą do nas ci nieszczęśni, którzy czekają już przy następnej bramie. Jest ich całkiem sporo. Znaleźli się tutaj dobrowolnie, przyszli do grobowców z własnej woli, wcale nie musieli, urodzili się bowiem na najwyższych piętrach, można powiedzieć w edenie, tam gdzie wszystkiego jest pod dostatkiem, gdzie świeże powietrze, woda i prysznice, gdzie sauny i zimowe ogrody. Gdzie światło. Lecz oni wszędzie czuli się nieszczęśliwi. Tu wreszcie czują się spełnieni, ich nieszczęście znalazło uzasadnienie – nie ma bowiem pod niebem gorszego miejsca niż grobowce. Chętnie pójdą z Inanną, choćby z zemsty, pójdą upewnić się, że dobrze zrobili, sprawdzić jeszcze raz źle urządzone świat miasta, a gdyby coś okazało się tam przyzwoite, łatwo będzie to popsuć. Powłócząc nogami, przybijają do tłumy, do szmeru innych stóp, rozgadanych głosów i pokrzykiwań.

Oto, Inanno, twój pierścień, twoja czapka, zabierz te śmieci, wszystko twoje. Szykuję już klucze do pierwszej bramy, już płaczę się w swoich przydługich rękawach, rozgarniam tłum nowych, którzy podnieceni plotkami, zebrali się, żeby do nas dołączyć. Podają sobie z przejęciem najnowszą wiadomość – że ktoś wszedł i teraz wychodzi. Ale dokąd i po co, nie wiedzą. Słyszeli, że jakaś kobieta – czy może mężczyzna – po coś poszła, ale nie wiadomo po co ani czy to dostała, ale nie jest to naprawdę ważne. Że umarła, a potem ożyła, a może odwrotnie – to miałoby nawet jakiś sens. Jak to – „umarła i ożyła”? Słyszał to kto, żeby tak było? I kim ten ktoś był, czy go zabili, czy sam zginął? A może nie umarł, tylko się to zdawało, może wyemigrował do innego miasta, wziął ślub i miał dzieci. Dyskutują. Albo się jest, albo się nie jest, a jak się umarło, to się nie ożywa, perorują podnieceni pod bramą. To można udowodnić, od tego jest logika i statystyka!, wykrzykuje któryś z nich oburzony, ale jego głos zaraz ginie

w pomruku tłumu. Bo z dala ktoś krzyczy: Idą już, idą!, i oni w pól swoich logicznych wywodów, podekscytowani, przyłączają się do pochodu, drepczą niecierpliwie, czekając, aż zgrzytnięcie zamka otworzy im bramy podziemi.

Światło daje mi policzek, cofam się w cień drzwi. Zrobiłem już swoje. Kołyszą się w zawiasach otwarte bramy, lamentują. Ci, co zostali, wyją z rozpacz. Gdyby wypuścić wszystkie cienie z podziemi, świat zapadłby się pod nimi jak spróchniała scena.

Sztuka negocjacji

Czekam na nią u bram grobowców, przed bramą więzienia, wierna jak jej walizka, zmęczona i szczęśliwa, ja, Nina Szubur, Ninszubur. Ale i boję się – kto z nas pójdzie na wymianę, kogo wskaże jej przebudzona ręka. I nawet walizka się boi, choć nie ma czego, rzeczy nie mogą być przedmiotem targu. W tej umowie liczy się tylko ten, kto żywy i wolny, komu czerwona krew krąży w ciepłym ciele. Nie przedmioty. Ile ich trzeba by było, żeby odkupić śmierć boga? Góry butów, hałdy usypane z okularów, tony złotych małżeńskich obrączek, wzgórze ze złotych zębów, kość słoniowa, której ciężar liczy się w megatonach, kamienie nagrobne ułożone w trakt dookoła świata. Ile trzeba by całej materii w kosmosie, tej jasnej i tej ciemnej? Gwiazd, wszystkich słońc i wielokrotnie zliczanych galaktyk. A ludzi? Ilu trzeba oddać ludzi, żeby wybawić boga od śmierci, żeby pozwolić mu zmartwychwstać? Stu, a może setki tysięcy, a może sześć milionów? Dwudziestu? Albo wszystkich tych, którzy już dawno się narodzili, i tych, którzy teraz żyją, i jeszcze tych, którzy się dopiero narodzą. Jak wielki jest ciężar boskiego ciała na szalach wag?

A jak spojrzę na mnie – co powiem ja, Ninszubur, jej przyjaciółka, ja, która opowiadam? Co zrobię, gdy spojrzę na mnie spopielonym wzrokiem, gdy mnie przeszyje nim na wylot, jak igłą, gdy mnie przyszpili? Czy zgodzę się na zejście tą samą drogą, na zostawienie przy kolejnych bramach swoich pierścieni, swoich cennych sukien, butów z jaszczurczej skóry, na zmycie makijaży? Gdyby spojrzała, to co zrobię?

Jestem tu, czekam przed drzwiami więzienia, z omdlałą walizką stęsknioną jej dotyku. Są tu też rikszarze ustawieni w szpaler i pomoce biurowe, i sprzątacze z rękami zmienionymi w miotłki. Słyszę szum

z tamtej strony, a potem zgrzyt odsuwanych rygli i miga mi koścista dłoń Netiego, odźwiernego, okolona rękawem z prującej się włóczki.

Żelazna furta otwiera się szeroko, robi się cicho, widocznie blask słońca wstrzymał im oddech, przytrzymał na granicy światów. Z mrocznej szpary powoli wyłania się postać – staje z szarą twarzą skierowaną do góry, do plam słońca, jak ślepiec. Na jej widok ściska mi się serce. Przypadam do niej, czule dotykam brudnej sukienki, strzępiących się szwów. Dotykam jej nagich mokrych stóp. Jej ramion, popękanej skóry. Lodowata Królowa. Sina. Gładzi mnie po włosach, całuje w usta, a ich dotknięcie mnie przeraża, nie są to usta, które znałam. Jej cienkie warkocze to brudne dredy, czapka cała w błocie i sukienka wymięta, podarta, naszyjniki zmatowiały, wiszą krzywo na jej kościstych piersiach. Żebra znaczą ślady palców śmierci, tam gdzie ją chwyciła, blisko serca. Zza niej, zza Inanny, wylewa się szemrzący tłum, oczy przyzwyczajone do wiecznych mroków teraz razi światło. Błade ręce zasłaniają twarze. W słońcu nieżywi stają naprzeciwko żywych, mierzą się wzrokiem. Neti patrzy na mnie.

– O – woła, zadowolony, że chaos można zaraz opanować i anulować nieporządek. – Nie musieliśmy długo szukać. Oto mamy zastępstwo. Weźcie tę kobietę i możemy wracać. – Wskazuje na mnie.

Lecz ona mocniej tuli mnie do piersi, przyciska mi głowę do żeber, aż czuję jej zapach – stęchlizny i brudu, wilgoci i mułu.

– Nie – mówi – to jest moja posłanka, moja przyjaciółka, Ninszubur. Nie waż się jej dotknąć, Neti, ani ty, ani tamci.

Chwyta mnie za rękę, jej uścisk jest zimny i mocny. Moja Inanno, jak ty wyglądasz, co z tobą zrobili. Muszę cię podtrzymywać, tak jesteś słaba, ty, która byłaś twarda jak pomnik. Powłóczysz nogami, ty, która biegałaś tak lekko. Musisz się na mnie oprzeć, głowę położyć na moim ramieniu. Zabiorę cię do domu, moja piękna, nakarmię cię, wykąpię. Chodźmy, chodźmy. Prowadzę ją, podtrzymuję.

Ruszamy garażami w stronę wind i widzę, że jest nas dużo i że jeszcze wciąż wylewają się z bramy ostatni, mrużąc oczy.

– Miasto, miasto – mówi z uznaniem ktoś ze świty, wciągając nosem powietrze, niczym turysta, który po latach przyjechał nad morze i teraz pasie swą tarczę jodem. – Miasto – powtarza spróchniałe ciało oszołomione powietrzem. – To się od razu czuje! – I rusza za resztą, podpierając się laską.

Windy wiozą nas w górę i na boki. Tłum ciśnie się w małych wagonach, dokazuje. Demony okupują lustra, gładzą się po zniszczonych twarzach. Wreszcie je widzą – swoje wyjątkowe oblicza. Cieszą się z tego, zanim ich wzrok nie padnie na inne. Czas w grobowcach lubi zabawiać się jak morska woda – z każdej skały robi gładki kamień, z każdej twarzy zmywa nos, usta, oczy. Nic ponad. Dobrze, że windy szarpią, a światło raz po raz mruga i miga. I ciągle przesiadki nie służą skupieniu nad własną fizjonomią.

A im bardziej w górę, tym więcej ludzi, przypadkowych przechodniów, mieszkańców miasta. Patrzą przerażeni, usuwają się pod ściany. Przystają, wpatrując się w tę szybką procesję, która wylewa się z wind na perony.

– Musimy im uciec, Anno In – mówię jej do ucha. – Musimy im umknąć w chwili nieuwagi, gdy winda szarpnie, w czasie przesiadek. Schowamy się u przyjaciół, znikniemy.

Lecz ona nie słucha. Pyta:

– Moja Ninszubur, przyjaciółko, powiedz, kogo prosiłaś o pomoc i ile dni trwała po mnie żałoba, bo straciłam rachubę. A mój Ogrodnik, biedny, jak on to zniósł i czy musieliście siłą go trzymać, żeby nie rzucił się za mną w grobowce? Gdzie jest teraz? A ojcowie, czy rozpaczali, jaki trik wymyślili, żeby mnie ratować? Opowiedz mi wszystko.

– O tak, opowiem ci wszystko, jak tylko przystaniemy. Kiedy położysz się wreszcie w czystej pościeli, wtedy ci opowiem. Teraz jednak chodźmy, spróbujmy im umknąć – odpowiadam dzielnie, ale w głowie mam mętlik.

Obyś, Inanno, ogłuchła w tych grobowcach świata. A ja obym straciła język, jak tyle razy w moich wędrówkach. Chowam wzrok przed tobą, zawieszam go na rozkładach jazdy, na migotliwych znakach. Ale ty już czytasz we mnie, widzisz w moich oczach.

Miasto jest takie, jak było – suche, pełne hałasu. Z nieba, jak zawsze, leci suchy, czerwony deszcz wszechobecnej rdzy, wszystko barwi na czerwono. Pisk wind i szelest obrotowych drzwi. Ruch i gwar. Barwne stragany i banki czynne do ostatniej kropli krwi, i wielkie hale, gdzie sprzedaje się wszystko i wszystko kupuje. Bibułki, lampiony, kolorowe szkiełka. Książki, mapy, hologramy. Farby, szminki, peruki. I szkoły, w których dzieci uczą się gramatyki na najprostszym słowie – ja, mnie, mną, u mnie... Nikt nic nie zauważył, moja Inanno. Nikt nie spostrzegł zmiany, nie wiedział, że umarłaś; nic się nie zatrzymało, nie zwolniło, nie wysiadły korki, nie zwarzyło się mleko, nie, nie, nie. Nic i nie. Nie widziało, nie słyszało, nie czuło. Nie zauważyło, nie lamentowało, nie żałowało.

Prawie ją niosę, jest lekka, jakby miała ptasie kości, puste w środku, wypełnione czernią. Jej oddech jest płytki, zimny, studzienny.

Miasto, ludzie, teraz widzą. Patrzą, jak suniemy – upiorna trupa. Na ich twarzach – najpierw rozbawienie. Pewnie myślą, że jesteśmy karnawałem, pochodem przebranych studentów, świętem piwa, że zaczął się festyn. Ale po chwili ich uśmiechy nieruchomieją, grzęzną w stężonych twarzach. Pomarańczowi ludzie, sprzątacze, spoglądając na nas, tulą się do mioteł. Biali riksarze usuwają się z drogi i robią nam miejsce, widocznie mamy przywileje ambulansu. Ci, co czekali na przesiadki i grali w karty, zatrzymują się w pół gestu, z plikiem kierów i pików, i patrzą na nas. Ci, co jedli śniadanie, nieruchomieją z widelcem w pół drogi do ust. Ci, co piją od rana, pozwalają spłynąć trunkowi w głąb ciała, nieporuszeni. I ci, co wyszli na spacer, stoją teraz z piłką w ramionach. Kelnerzy – z tacą w pół piruetu. Sprzedawcy z dłońmi na klawiaturach kas. Dzieci z językiem wyciągniętym do loda. Klienci kafejek internetowych oślepieni kwadratowym odbiciem ekranu w źrenicach. Kobieta z odsłoniętą piersią i niemowlę, które porzuciło sutek. Policjant i jego biała dłoń nad ulicznym ruchem. Lekarz ze strzykawką wzniesioną groźnie ku niebu, a u jej ostrza wisi jasna kropla. Palce na strunach gitary ulicznego grajka. Stopa, która nawiedza w sklepie nowy but. Odbicie twarzy w resztkę wina na dnie kieliszka. Mleczne wąsy na górnej wardze. Palec wędrujący po rozkładzie jazdy. Zgubiona moneta, gołębie piórko żeglujące po oceanie kałuży, bilet, którym bawią się podmuchy wentylacji, otwarta puderniczka i lusterko

zagapione we fragment reklamy. Wzrok złotej rybki z wnętrza foliowej torebki.

Wszystko jest na swoim miejscu, nic się nie zmieniło.

– Przepraszam bardzo, kiedy znajdziemy się w centrum? – dopytuje się grzecznie jeden z demonów; grzebie palcami w zniszczonym portfelu, miętosi w dłoniach pieniądze równo wycięte z pożółkłych gazet. Ktoś podchwytuje: – Do centrum! Zabawić się i na zakupy!

– Musimy się im wymknąć – powtarzam z uporem.

– Nic nie zauważyli – mówi Anna In. – Nie zauważyli.

– Daj im spokój, to ludzie, są zmęczeni i zapracowani. – Ciągnę ją w bok. Ale zastępują nam drogę żywe łachmany, demon ponury, demon smutny. Trzymają nas w środku kręgu, jak zakładników.

To nie jest karnawał. To bomba. To plaga, która teraz przewala się środkowym pomostem miasta. Demony już zaczęły plądrowanie sklepów, przymierzanie najdroższych kapeluszy, uwalnianie homarów z akwariów, gdzie cierpliwie czekały na śmierć we wrzątku. Walą się po pyskach tortami z cukiernianych wystaw. Sikają do donic wprost w kwitnące azalie, blokują obrotowe drzwi, mażą brudnymi paluchami po szybach nowoczesnych budynków filharmonii. Och, jak to dobrze najeść się w delikatesach, utracić szyjki butelkom i wlać wino prosto do gardła, wyłuskać cukierki z ich lśniących ubranek, a w końcu lec na trawniku i puszczać gazy.

To właśnie jest dla nas szansa, myślę, może uda nam się uciec. Demony, zajęte plądrowaniem miasta, zgubią nas z oczu. Miasto je uwiedzie, zawróci im w głowach, oszołomi. Krąg pęka w jednym miejscu, tuż przed sklepem z czekoladą; już fruują w powietrzu zdobne bombonierki. Udaje nam się wymknąć bocznymi podwórkami, dostać niepostrzeżenie do ciasnych wind. Kilka razy zmieniamy kierunki. Odsuwają się od nas pasażerowie kolejek, nie poznają jej, fukają z naganą, myślą, że prowadzę pijaną dziewczynę, że to ćpunka.

Pod wieczór tego sądniego dnia, po godzinach kluczenia, zjawiamy się u Lulala. To on plecie Annie In te piękne warkocze, to on tatuuje jej ciało.

Uchyła nam drzwi przestraszony młody mężczyzna o śniadej twarzy. Ale gdy ją widzi w brudnej czapce i podartej sukience, cofa się w głąb swoich kosmetycznych salonów, przyciska dłonie do oczu i nie wiem, czy chce w ten sposób zatrzymać łzy, czy nie może patrzeć.

– Pani moja, Inanno, co oni ci zrobili? Co się z tobą działo?

Pachnąca kąpiel przyjmuje w końcu jego łzy, giną w pianie, ciągle szlocha, gdy myje włosy Inannie. Naciera ją olejkiem, od którego jej ciało robi się na powrót zwarte i młode. Wyciera ją w białe puszyste ręczniki. Nie może jednak zatrzymać łez.

– Zniszczyli ci ciało, kochana, takie piękne, boskie ciało. Zniszczyli jej ręce, jej piersi zmarnowane, jej szyja popsuta! – skarży się do mnie.

Lecz spośród tego lamentu oczy Lulala mówią: Nie oddasz mnie, prawda? To nie będę ja. Nie jestem przecież tak ważny. Obejdą się grobowce beze mnie. Jestem twoim znajomym, jednym z wielu, zaledwie, ot, fryzjerem, który czesze ci włosy, nikim szczególnym... To prawda, że się znamy, ale czy jesteśmy tak blisko? Cesałem ci włosy, lecz to przecież nic takiego, każdy mógłby to robić...

Lecą z brzękiem wybite szyby – świta czuwa. Prowadzą ją nosy, opamiętały się na chwilę szabrujące demony. Po chwili pod przybytkiem Lulala pojawia się delegacja. Stoi grzecznie pod drzwiami, składa się z trzech oberwanych pokurczów, a za nimi faluje skłębiony, niespokojny tłum demonów, teraz barwny od skradzionych ubrań, modnych kołnierzy i baskinek, tiulów i welwetów; twarze mają uwalane tłustymi sosami, bitą śmietaną, nadzieniem wyprutym z czekoladek.

– Oddaj nam go, Inanno, oddaj nam Lulala. Oddaj nam to, co się nam należy, niecierpliwimy się.

– Nie – mówi Inanna – to nie on pójdzie z wami. Nie ten. Lulal jest moim przyjacielem, od lat czesze mi włosy, kocha mnie.

Szmer idzie od nich, naradzają się, rzucają na przerażonego Lulala ciekawe spojrzenia.

W końcu decydują; delegacja mówi:

– Wcale go nie chcemy, nie jest wart wagi twoich rzęs. Czy przyda się nam ktoś taki w grobowcach? Nie będzie umiał nas pielęgnować, nie oddamy się jego troskliwym rękom. Czy będzie obcinał pazury sędziom,

żeby ułagodzić ich humory? Czy odważy się czesać włosy naszej pani, żeby przeszła jej złość? Czy nie przestraszy się na wpół martwych ciał swoich nowych klientów, ich łysych czaszek, cienkich warg, na których nie utrzyma się żadna szminka, kościanych policzków, na których nie przetrwa puder? Po co nam ktoś taki, słaby i strachliwy? Ten fach nie jest nam potrzebny. Daj nam kogoś równego sobie, żeby wymiana była sprawiedliwa, daj nam kogoś tak samo cennego jak ty. Nie próbuj nas oszukać.

Lulal z ulgą zamyka oczy. Zbladł na popiół, osiwił w jednej chwili. Opiera głowę o poduszkę. Nie chcą go. Ma dzieci i zniedołężniałego teścia. Jak miło, choć raz w życiu, być niechcianym.

Lecz demony powoli ogarnia teraz wściekłość – palą kosze na śmieci, tłuką szyby w wystawach. Nie będziecie dzisiaj spali, mieszkańcy miasta, nie dadzą zasnąć nikomu. Truposze wyją i wrzeszczą, wypełniają sale w kinach, ale szybko im się tam nudzi, prawdziwe życie jest ciekawsze niż najlepszy film. W modnych jarzeniowych restauracjach, gdzie podaje się tylko sushi, domagają się od przestraszonych kelnerów puddingów, legumin i przepiórek, dość mają trupiego jadła grobowców. W eleganckich hotelach pluszczą się w łazienkach, ukręcając łebki kranom i prysznicom.

Po północy udaje nam się wymknąć kuchennymi drzwiami.

– Nino moja, Ninszubur, pójdziemy dalej, do Szary, to mój przyjaciel, on nas przenocuje – szepcze Inanna, moja miła. Wiem, co ją trapi. Znam miasto i widzę, jakie kręgi zatacza potop demonów. Obie wiemy, że im nie umknie.

Szara ma restaurację na wyższym poziomie – dobra marka; ma nawet jedno okno, z którego widać trzy centymetry kwadratowe nieba. To miejsce zawsze lubiła Inanna. Teraz Szara wpuszcza nas do środka i zapala świece.

– Nie ma elektryczności, miasto jest bez światła.

Bierze twarz Anny In w swoje miękkie dłonie, przygląda się jej oczom. Boi się, drży na całym ciele. Tuli się do jej brzucha. Ścieli jej miękkie łóżko, daje grzane wino. Tłuką się kieliszki, lecą mu z rąk, biedny Szara. Czy to będę ja?, pytają jego oczy, gdy próbuje nas ukryć w kuchni, między lodówkami. Lecz demony już nas zniuchały, wyjąca zgraja już przykleja swe nosy do szyb, drapie w ściany.

– Czy to ten? – krzyczą. – Czy to ten pójdzie z nami zamiast ciebie?

Naradzają się krótko, potem ich fala wlewa się do środka. Spadają nakrycia, tłuką się zastawy, lądują na barze latające spodki. Lecz Inanna chroni Szarę swoim ciałem:

– To nie ten pójdzie z wami. Ten jest moim przyjacielem.

– I dobrze – krzyczą demony. – Nie przyda się nam ktoś taki w grobowcach. Czy ugotowałby nam potrawy z podziemnych bulw, z czarnej rzepy, krwistych buraków, z ciemnych palców chrzanu wczepionych w ziemię? Czy umiałby karmić nas bobem i owocami granatu? Czy zna rodzaje podziemnych mokrych grzybów, które girlandami spływają po przegniłych stropach? A zdechłe szczury, czy wiedziałby, jak je patroszyć i nadziewać pastą z karaluchów? A białe larwy w czarnym cukrze: czy dostalibyśmy je na deser? Czy umiałby z ciał padłych zwierząt przyrządzić soczyste befsztyki? Mamy ograniczone menu. Jesteśmy na podziemnej diecie. Nie podoba nam się ten gość! Trzęsie się jak galareta. Daj nam kogoś, kogo nie będziesz mogła odżalować, musimy mieć to, co sprawi ci ból, inaczej wymiana nie będzie sprawiedliwa. Inaczej będzie oszustwo. Masz jeszcze kilka godzin, potem wracasz z nami.

Nie ma sensu spać, nie ma się co rozkładać. Szara pali jednego skręta za drugim, obgryza paznokcie. Okna szczelnie zasłonięte, sieć wyłączona, szyby towarowych wind zablokowane między poziomami. Oblężona twierdza. Nie bój się, Szaro, ciebie nie chcą.

Inanna leży teraz na czystej pościeli, ja siedzę przy niej. Czuwam, gładzę ją po ręce. Będę wszystko pamiętać, każde słowo, każdy jej gest, najmniejsze poruszenie powietrza, z jej oddechu wyczytam to imię – Ogrodnik.

Złe sny

– Miałem straszny sen – mówi Ogrodnik swojej siostrze, Annie Geszti. – Miałem straszny sen.

Siedzi przy kuchennym stole w piżamie, ma zmierzwione włosy, bawił się do świtu, tańczył z przyjaciółmi na miękkich trawnikach, pił, dlatego źle spał. Festyn zaczął się wieczorem i jego lampiony świeciły pięknie. Lecz krótko.

– Jakies zamieszki są w mieście, jakieś bitwy uliczne. Potłukli moje światła, podeptali trawniki. Interweniowała policja. Nie wiesz, co się stało? – Wrzuca do szklanki garść witamin. Musują, szemrzą, przyniosą mu spokój.

Ja, Anna Geszti, ja jego siostra, ja każda, która rozumiem sny, widzę, że mój brat nic nie wie. Nic nie było w wiadomościach o Inannie.

– Wróciła Inanna. Anna In wróciła – mówię.

Wydaje mi się, że błędnie. Więc zrozumiał.

W tym śnie on stał nad brzegiem rzeki. Śniły mu się fale, które wzbierały, stawały się coraz większe, zakrywały horyzont, groźne. Trzciny na brzegu szeleściły od wiatru, potrząsały nad nim głowami z żalem, to był suchy lament bez słów. Drzewa w lesie wznosiły się nad nim, podchodziły do niego blisko, otaczały go, groźne, jednonogie potwory. Woda rozlała się w jego domu, sięgała mu po kostki. Jego wiadra i doniczki były zniszczone i pogięte, zniknął jego ulubiony kubek, z którego pił wodę, jego motyka zniknęła, i grabie. Widział kwaśny deszcz, który spadł na jego uprawy, widział wodę, która wypłukała z ziemi cebulki hiacyntów, mszyce obsiadły jego róże, nornice podkopały karpy. Dom był pusty, naczynia

poprzewracane, kieliszki potłuczone, nawiedzone włości, obce, opustoszałe, podeptane dywany, błotniste ślady na wypolerowanym drewnie schodów, pościel w sypialniach zmiętoszona, poplamiona krwią.

– To wszystko działo się przeze mnie, byłem winny. Ale na czym polegała moja wina, tego nie wiem, więc nie mogłem niczemu zapobiec. Byłem mały i drobny, byłem słaby i opuszczony; nie było nikogo, kto by mi pomógł.

– Och, nie mów nic więcej. – Nalewam mu kawę, jej strumień przelewa się z filiżanki na stół, skapuje na ziemię ciemnymi kroplami.

– Czy wiesz, co to może znaczyć? – pyta.

– Nie, nie wiem – odpowiadam i ścieram czarne kałuże, trzęsą mi się ręce. – Nie myśl o tym.

Jak mógłby się ukryć przed takim snem, myślę. Przytulam go do siebie i czuję pod piżamą jego kości, drobne kości, wcale nie mocarne, ludzkie – nasze kości, nasz stelaż; w tym jesteśmy podobni do miasta – zbudowani z kolumn, ażurów i klatek. Na tym nas rozpięto, kruchy namiot. Myślę jeszcze: dokąd ona przyjdzie, jak nie tu? Inanna. Przyjdzie tu na pewno po tego, którego kochała, i nie uda jej się zwodzić prześladowców w nieskończoność. Będzie jak kula ognia, która tocząc się ku wodzie, żeby ugasić płomień, podpala wszystko wokół; będzie jak zarażona wirusem szukająca pociechy w cudzych ramionach i przekazująca go innym; będzie jak ścigane zwierzę, które w panice ucieka do nory i tym samym wydaje oprawcy swoje dzieci. Tak myślę i czuję pod piżamą kruche ciało mojego brata. Jak mam go ukryć? Gdzie? W mieście nie ma takiego miejsca, w którym by go nie znalazła. Musi zamienić się z kimś na twarz, na ciało, udąć kogoś innego, zmienić skórę jak wąż i rozpuścić się w tłumie i całe dnie jeździć windami, żeby zgubić ślady, pachnieć inaczej, mieć inne ruchy, stać się kim innym. Przestać być sobą, zapomnieć o sobie.

– Boję się – mówi mój brat, Ogrodnik. – Czy zrobiłem coś złego, czegoś zaniedbałem? Staralem się wszystko robić dobrze, wykonywałem swoje obowiązki, dbałem o rośliny, dbałem o ludzi. – Patrzy na mnie, szuka

potwierdzenia; przytakuję mu, co mam robić? – Ona szukała przygód, porzuciła wszystko, co miała, i zeszła do podziemi. Tego nie rozumiem. Po co nurkować w ciemności, gdy na powierzchni pięknie namalowano wszystko, cały świat? Teraz wraca jako monstrum, ciągnie za sobą demony, otwiera bramy i wpuszcza chaos do miasta, niszczy to, co starałem się pielęgnować. Dlaczego mam się czuć winny, nic nie zrobiłem. Co mam wspólnego z tymi demonami, z żądaniem tak dziwacznym, że budzi mój śmiech – ktoś musi pójść za nią! A to dlaczego? Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Kto mieczem walczy, ten od miecza ginie. Czy nie tak nas uczono od dziecka, że każdy uczynek ma swoje konsekwencje i kto powiedział A, musi mieć odwagę wykrztusić z siebie B? Że jest przewinienie i jest kara?

Tak, ma rację, to prawda, myślę i otwieram szafy. Lecz są też miłość i rana.

– Daj spokój, mówię, nie myśl już o tym – uspokajam go i on oddaje się w moje ręce.

Jest piękny. Wybrała go z tysięcy innych, miasto wniosła w posagu, oddała mu siebie i wszystkie swoje bogactwa, zrobiła go królem ogrodników i królem mężczyzn, księciem tych, którzy wyciągają króliki z kapelusza. Dała mu wolność. Ale gdy odeszła, gdy ruszyła do grobowców, on był zbyt zajęty sobą, żeby jej pomóc. Kiedyś była dla ciebie całym światem, a teraz, gdy jedyny raz potrzebowała pomocy – zawiodłeś ją, mój bracie. Tak myślę, ale nie mam odwagi mu tego powiedzieć. Matka nauczyła mnie zawsze go chronić, bo jest delikatny i wrażliwy, kruchy niczym papierowy lampion, ten mój brat, Ogródnik.

Golę mu jego piękne brwi, a na ich miejsce maluję ołówkiem cienką kreskę. Przykrywam jego świeżą jasną cerę ciemniejszą warstwą pudru. Pociągam wargi jaskrawą szminką. Na głowie będzie miał barwny turban, który ukryje jego bujne włosy. Ściskam mu piersi stanikiem, ma teraz dwie gąbki zamiast biustu. Talię ciasno opasuję mu szarfą. Golę łydki, a na stopy wkładam chwiejne pantofle na wysokich obcasach. Suknia, która przykryje jego piękne ciało, będzie liliowa i obcisła. Zmieni go w kobietę. Dam mu koszyk, niech wygląda na praczkę albo sprzątaczkę biur, albo sekretarkę, nianię, przedszkolankę.

– Biegnij teraz do wind i jedź nimi zawsze w górę, do naszych ojców, ich poproś o pomoc, na pewno ci nie odmówią. Będę kłamała, odwrócę ich uwagę.

– Ale kto miałby przyjść? – pyta on z niepokojem.

– Tak tylko mówię, nikt nie przyjdzie.

Patrzy mi w oczy, jego źrenice są czarne i szerokie. Widzę tam siebie, małą, drobniutką jak żdźbło, dziewczynkę okoloną czernią, księżniczkę na ziarnku ciemności. Obejmujemy się na pożegnanie, a potem on wymyka się z domu. Znika w tłumie. Ginie z moich oczu.

Dobrze rozumiem ten sen: woda, która wzbiera w fale – to niebezpieczeństwo, to nadchodząca zagłada. Trzciny, które kiwają głowami – to ja, pogrążająca się w żalobie. Te drzewa, które podchodzą zbyt blisko, napierają – to rabusie, czający się już za drzwiami. Fale, które wlewają się do mieszkania – to podziemny potop, nurt piekielnych rzek. Żli ludzie zniszczą w nim sprzęty, kubek zniknie z gwoździa, na którym wisiał, to on, Ogrodnik, mój brat i mąż, który wypadł z łona matki bezbronny i nagi. Zniszczone rośliny – nic się nie uratuje, nic nie zachowa swojego kształtu.

Ogrodnik pojmany

Miasto jest zagrożone. Miasto postawiono w stan gotowości. Policjantów ściągnięto z urlopów, tajniaków wyciągnięto z łóżek, opróżniono magazyny z wszelkich rezerw. Mechaniczni żołnierze budują barykady na ulicach. Ładują gazem łzawiącym baterie. Armatki – wodą. Po peronach wind maszerują patrole. Na place wyjechały pancerne wozy, płoną ogniska. Poleruje się plastikowe tarcze.

Ale na czyje to oczy? Podziemni nie leją łez, gaz ich nie oślepi. Kto z martwych boi się wody i ognia? Ich gardła piły wodę z podziemnych rzek, nie zakrztuszą się zwykłą z kranów, ogień nie przypali ich skóry, zaprawiła się w piekielnych kręgach. Komu straszne są hełmy i pałki, skoro ciała są nieczułe na ból?

Mój brat przemknął się już podwórkami, wbiegł po przeciwpożarowych schodach, przeskoczył ogrodzenia z drutu. Ale tamci mają wyostrzony węch, tropią go jak zwierzynę. Pokrzykują do siebie. Osaczają.

Ja, Anna Geszti, ja każda, która tłumaczę sny, wiem, że to jest koszmar wszystkich ludzi, wszystkich mieszkańców miasta – że tropi ich coś, przed czym nie ma ucieczki. Cały świat jest kryjówką, miejscem ukrycia są pola, jaskinie, lasy i strumienie, klatki schodowe i strychy, przejścia podziemne i piwnice. Własne szafy, własne ubrania; zamknięcie powiek. I dopóki człowiek ucieka, dopóty jest ścigany. Moimi narzędziami pracy są fotel i paczka chusteczek, gdy tłumaczę sny, mówię ludziom, mówię tym ściganym – zatrzymaj się i odwróć twarz do swojego prześladowcy, pozwól przystawić sobie lufę do czoła, wystaw pierś na ostrze strzały, odśłoń szyję błyskowi noża – wtedy przestaniesz się bać.

Wiem, dokąd zmierza Inanna, w jakim idzie kierunku. Nawet gdyby chciała zmienić tę drogę, nie może. Więc otwieram im drzwi, ja, Anna Geszti, Gesztianna, każda, która rozumiem sny, otwieram drzwi jej i jej wyjącej świcie.

– Witaj – mówi ponuro. Kiedyś była piękna.

– Nie ma go tu – szepczę. – Po prostu wyjechał, przepadł.

– Kłamiesz – krzyczą demony.

Tłum rzuca się do środka, trąci podłogi. Przetrząsa każdy kąt, depta młode siewki. Zagląda do szaf i garderób, wywraca kieszenie ubrań, penetruje schowki, otwiera kredensy i wyciąga szuflady. Z hukiem tłucze się porcelana, chrzęści szkło kieliszków. Wściekle, rzucają się w końcu na mnie, to ja będę ofiarą. Poddaję się temu, impet ich wściekłości uderza we mnie, hamuje. Gryzę język, żeby nie mógł się zbuntować, żeby nie wymknęło mu się jakieś zdradzieckie słowo. Szarpia mnie boleśnie, zrywają sukienkę.

– Gdzie on jest, Ogrodnik, twój brat? – wrzeszczą maszkarony.

Wiążą mi ręce na plecach i teraz popychają między sobą jak kukłę. Upadam i nie mogę się podnieść. Kopią mnie, dobrze, że są słabi, ich wątłe stopy, ich rozmiękłe w podziemiach mięśnie nie mają zbyt wiele siły.

– Nie wiem. Jeszcze chwilę temu był w domu – tłumaczę niewyraźnie, ale potem już jest mi trudno powiedzieć cokolwiek, bo usta mam pełne krwi.

Stoi przede mną blada, popielista, ta, która się podniosła. Nic nie robi, żadnym gestem nie ucisza wściekłości demonów. Zamiast bransolet ma na przegubach bandaż, zamiast naszyjników plastry. Przy jej oczach kręcą się małe owady, siadają jej na rzęsach – pani w muchach. Do jej ramienia uczepiona kobieta, mogłaby być moją siostrą, to ją proszę wzrokiem o pomoc, widzę jej łzy. Zza jej pleców spoglądają na mnie białe twarze demonów. Szepczą natarczywie:

– Czy to ta pójdzie z nami? Czy jej brat? Gdzie on jest, oddaj go nam, już nie możemy czekać. Już się nam znudziło. Nie ma tu dla nas nic ciekawego, same śmieci; tęsknimy do domu.

Zgraja rusza w miasto, to jasne, że zbiegł, że uciekł, ale jest gdzieś blisko. Już się nam nie wymknie, windy stoją w korku, na linach płasają pijane demony, nie ma stąd ucieczki. Nie pomoże mu żadne najbardziej wymyślne przebranie. Nic mu nie pomoże i kiedy obie kobiety zbliżają się do mnie, żeby mnie podnieść i rozwiązać mi ręce, patrzę Inannie prosto w jej jasne oczy, proszę: Weźcie mnie zamiast niego.

Moje słowa krzepną we krwi.

Kryzys

Inanna zaciągnęła nad miastem ciemne zasłony śniegowych chmur, chłód wdarł się między azury, lód obkleił trakcje wind, mróz wniknął do gniazdek elektrycznych, odtąd prąd płynie wolniej, a światło jest ciemniejsze, na rogach ulic ćmi się zaledwie pomarańczowo, żółta mgła pochłania jezdnię, zamazuje szyldy sklepów. Śnieg przedostał się nawet do najniższych poziomów. Stały windy, kołyszą się teraz ze zgrzytem, ze zgrzytem, żelazne owoce miasta, puste w środku. Mróz przedrzeźnia ciepły organiczny świat, imituje liście, płatki kwiatów i gałązki wierzb, wygrywa swoje białe koncerty pełne trzasków. Zgasły ekrany, przestraszeni spikerzy grzeją ręce nad płomykami świec, szepcząc niepomyślne prognozy pogody. Wiatr usypał zasy na przejściach dla pieszych.

Nie mam teraz pracy, ja, biały riksarz, ja każdy, który opowiadam. Mówię niesłyszalnymi słowami, jak to służący, bo niewolnicy głosu nie mają. Ale myślę, myślę jak każdy człowiek.

Miasto zatrzymało się, znieruchomiało. Nikt nigdzie nie wyrusza, nie zatrzymuje mnie na ulicy szybka dłoń, usta nie rzucają adresu. Ludzie skryli się w domach, pozasuwali zasłony, palą tylko małe światełka i lękliwie wyglądają przez okna. Ale ja nie mam domu, zawsze spałem w pracy, w wozowni, na stojąco jak koń.

Zjechaliśmy tutaj, będziemy świadkami, cokolwiek się zdarzy. Są tu ze mną inni bezrobotni riksarze, praczki, czyściciele, śmieciarze i sprzątacze; wszyscy zdezerterowali, bezsilni wobec zasp śnieżnych, nie radzą sobie z soplami na trakcjach. Jest tłoczno. Więc wolno chodzę po śniegu, widzę go po raz pierwszy w życiu – nigdy nie padał w mieście – i zostawiam dziwne ślady: najpierw odciski stóp, szerokie i płaskie, a potem proste linie kół. To niezwykle – chodzić wolno i bez celu, nie nawykłem do tego; wydaje mi się to śmieszne, jestem jak dziecko, które

uczy się nowej umiejętności – chodzić powoli; zawsze przecież biegłem. Chyba nie bardzo mi idzie ta nauka, krok mam chwiejny i niepewny. Mój wózek jest pusty, trudno utrzymać równowagę bez obciążenia.

Widziałem, jak go schwytały, musiał się zdradzić jakimś ruchem, pewnie próbował walczyć, wymachiwał kijem. Miał na sobie kobiecą sukienkę, podartą, i przekrzywiony rozwiązany turban. Demony złapały go i przykuły za nogę do przystanku, ręce skrępowały mu na plecach. Tak wisiał, głową w dół, gdy ona go zobaczyła i podniosła lament.

Za późno, moja panno, cieszyły się demony, wyły z radości, obwieszone zdobyczą, towarami, umorusane, i zaraz potem, ku uldze wszystkich, zniknęły z nim w grobowcach. Jak cicho.

Teraz siedzimy tu wszyscy, pod bramą grobowców. Łuszczy się z żalu niebo, zamiast rdzy leci na głowy biały puch.

Najpierw biła pięściami w bramę i krzyczała: Wpuść mnie, ty kupo kości, ale oczywiście odpowiedzi nie było. Teraz po prostu stoi. Neti, odźwierny, nie popełni drugi raz tego samego błędu. Nikt tam nie wejdzie, nikt stamtąd nie wyjdzie. Brama się zamknęła, rygle zaskoczyły. Wyjące hufce wróciły do domu, wywołują pewnie teraz zdjęcia z podróży.

Całą noc waliła w bramę. Wściekła, ale teraz ucichła. Ktoś rozczesał jej już włosy i zaplótł na powrót w cienkie warkoczyki, ktoś wywabił jej z twarzy grobowe cienie, przywrócił rumieńce. Ktoś usłużny przyniósł jej jedzenie, uszczknąłem go troszkę, kilka kęsów, bo to wykwentne potrawy, z dobrej restauracji. Nigdy przedtem takich nie jadłem.

Mówi sama do siebie. Zwariowała z żalu czy może gada z muchami. Krążą nad jej głową. Łysa kobieta przykrywa ją kocem, druga, Ninszubur, ta z walizką, podtyka jej kubek z wodą, ale Inanna nawet nie zwraca na nią uwagi. Na jej rzęsach śnieg nie topnieje. I jest jeszcze trzecia, siostra Ogrodnika. Ta chciała, żeby ją wzięli zamiast niego, czepiała się kościstych nóg, łapała ich za plecaki. Mnie weźcie, krzyczała. Weźcie mnie zamiast niego! Nikt jej nie słuchał, odepchnęli ją jak kupkę szmat.

Myślę: szkoda Ogrodnika. Dobry był z niego przyjaciel. Bawił dzieci, rozśmieszał ludzi, rozkładał swoje wiszące ogrody jak kramy, miły z niego gość. Wokół niego zawsze tyle ruchu, słodka wata, baloniki. Lizaki, piłeczki

na gumkach, wiatraczki z cynfolii. Jego lekki krok, gdy skakał z przęsła na przęsło. Jego zgrabny tors opasany liną. Zarządzał święta i zabawy, dni wolne od pracy. Teraz lampiony namokły od śniegu, wypaliły się światła. Kolory z bibułkowych festynowych kwiatów farbują śnieg na sztuczne kolory – róż i fiolet, cytrynową żółć i martwą zieleni neonów.

Nie ma nic do roboty w tym zimnie, szwendam się tam i z powrotem, ale pod wieczór zaczyna tu przychodzić coraz więcej ludzi, jakoś się tu dostają, choć windy nie chodzą, zapewne podróżują zsypami na śmieci, może wiszą bezpośrednio na zimnych trakcjach – podobno można się podczepić, mając zaledwie kółko i skórzany pasek – może znają przejścia między przęsłami, przez dziurawy szkielet. Skąd sypie śnieg, z jakich nieb opada, przez jakie się tutaj przeciska szczeliny?

Inanna znowu podchodzi do bramy, przytula twarz do jej kamiennej powierzchni, porusza ustami. Podobno jej siostra jest po drugiej stronie. Lustrzane odbicie. Tak mówią riksarze. Dzieli je od siebie zardzewiała brama. Dotykają się opuszkami palców, policzkami, piersiami przez zimne żelazo. Pod palcami Inanny żelazo kwitnie jak szron – drobne małe gwiazdki, ośmioramienne gwoźdźniki. Gdy odsuwa rękę – wzór marnieje.

– Oddaj mi go – mówi Anna In do siostry, a my podsłuchujemy. – Na nic się nie przyda w grobowcach. Z jego nasion nic tam nie wyrośnie, żadna z jego cebulek nie puści pędów. Twoja ziemia jest jałowa. Hoduj sobie swoje piękne białe grzyby, one nie potrzebują słońca ani ciepła, ale jego mi oddaj. Oddaj mi go, proszę, żałuję swojego gniewu, żałuję złych słów, złych myśli, którymi w niego celowałam.

Jakie kwiaty wyrastają na metalu spod palców tamtej, gdy odpowiada?

– To jedyne, co naprawdę udało mi się tobie zabrać. Wszystko inne należy do ciebie: masz słońce i księżyc, gwiazdy, konstelacje; masz ludzi, przyjaciół, ciepłe noce, zapach i smak. Masz żywych kochanków, ich gładką skórę, nabrzmiałe miłością ciało, masz pościel, pierzyny, pachnące szampony, różane pudry i szminki. Masz łaźnie i fryzjerów, wierne przyjaciółki, piwo, wino, słodkie ciastka, wycieczki, podróże, dzieci, puszyste zwierzęta, korale, kolczyki, wyszywane suknie, masz kłótnie, po

których następuje zgoda, i koszmar, z którego można się obudzić, masz biedronki i ptaki, i króliki, masz gniazda i krokusy, masz ołówki i tusze, masz papier, który nie pokrywa się od razu pleśnią, masz pieśni, wiersze, opowieści. Żeby tego wszystkiego spróbować, trzeba by było żyć milion razy. Takie jest twoje bogactwo. A ja? Chciałabyś się ze mną zamienić? Raz przynajmniej mam nad tobą przewagę, raz mi się udało.

Inanna gładzi zimną blachę. Sunie po niej dłonią, lecą płatki rdzy.

– Oddaj mi go – prosi. – Jak długo będzie cię cieszył mój ból, co ci z niego przyjdzie? Po dwóch dniach ci się znudzi. Zatopisz go w pleksi jak swoich kochanków i będziesz patrzeć na jego martwość. Nie tego chcesz, wolałabyś mieć go żywego, ciepłe, miękkie ciało, gładkość nagich pleców, zapach ludzkiej skóry, miłosnego potu... – mówi Inanna, pani w muchach; tworzą wokół jej głowy żywą aureolę.

Tamta gniewnie uderza w blachę bramy. Przez chwilę słysząc, jak dźwięk odbija się echem w podziemiach grobowców. Wraca cichy, słabe kwilenie. Obok stoi siostra Ogrodnika, Gesztianna. Mówią, że potrafi wytłumaczyć każdy sen. Nawet marny sen riksarza.

– Mnie weź – szepcze. – Spodobam się twoim podwładnym. Mam wiele zalet, na pewno się przydam. Chętnie pójdę sama, będę wierną poddaną. Jestem silna i zdrowa, mam dobry życiorys...

Stamtąd, z drugiej strony, słysząc teraz chichot i lekkie drapanie. Inanna ogania się od much, które obsiadły jej włosy. Rozumie ich język. I one chcą się przyłączyć do tych negocjacji. Tak, pójdą w dół, w grobowce, ale mają prośbę – chcą być żywe. Dotknij nas, mówią, zrób z nas prawdziwe owady, nie musisz nam dawać czerwonej krwi, prawdziwego serca, wystarczy nam małe życie, prymitywne. Pięknie jest mieć ciało, nawet takie zrobione ze śmieci. Dobrze jest żyć, podoba się nam to, choćby się żyło w grobowcach. Poruszać się, napocząć każdą chwilę jak puszkę piwa, pstryk – i już uchodzi z niej czas. Spieszyć do następnej. Będziemy odtąd opłakiwać zmarłych, wszystko, co umrze, odtąd będzie nasze: będziemy udzielać ostatnich sakramentów, zamykać powieki owadzią pieszczotą.

Tak to trwa, zawieszone, spowolniałe ruchy. Płatki śniegu wokół głów tworzą aureole. Pragnienia, które się krzyżują, nie dochodzą celu. Spodziewałby się kto gwałtownych scen, lamentów, podchodów, szantaży i oszustw, rwania włosów z głowy. A tu nic z tego, scena prawie martwa. Trzy kobiety odwrócone twarzą do żelaznej bramy, całe w szeptach, błaganiach. I czwarta – niewidzialna, jej obecność składa się tylko z szelestu, z chrobotu.

Wydeptuję wolnym krokiem swoje ślady w śniegu, łagodne półkola, piękne półksiężyce, ósemki, zera miłe oku. Czas się wiję między figurami, aż czekająca gawiedź, mimo napięcia, przysypia – głowy wsparte na ramionach towarzyszy. Oto rebus nie do rozwiązywania, istna łamigłówka, trudno jest ustalić cenę Ogrodnika.

Teraz na przykład handlują muchami.

– Znowu będziesz sama, bo chyba nie są ci żadnym towarzystwem ci, którzy się ciebie boją, twoi sędziowie, cuchnące demony, zastępy zmarłych, służący mutanci, cały ten twój podziemny dobytek. Oddaj mi go – prosi jeszcze raz Inanna i czule dotyka metalowej bramy, jakby chciała pogłaskać tamtą po ciemnym policzku. Na jej dłoni muchy. Widocznie ich widok podsuwa jej nową myśl. – Dam ci muchy. Pamiętasz ich pieszczoty? Pamiętasz ulgę, jaką ci przyniosły? To mogą być twoje prawdziwe przyjaciółki. I ile ich jest! O, jaki to skarb dla ciebie: mogą wędrować pomiędzy światami do miasta z grobowców, z grobowców do miasta. Będziesz miała u nas swoje sondy. Będą twoimi zmysłami, zapuścisz je wszędzie. Obliziesz nimi każde jabłko, każdy kęs jedzenia, wciśniesz się do cukru, poprobujesz miodu. Przez ich łapki będziesz mogła pieścić każdą twarz, spojrzeć w każde oczy. Będziesz widzieć nimi, słuchać każdej tajemnicy, świadcować każdemu wydarzeniu. Słyszeć szepty i znać tajemnice. Co noc będą cię pocieszać w podziemiach, kołysać twoje bóle, tulić twoje żale. Dam im tawerny, burdele, śmietniki, jatki, bazy i toalety, martwe ciała ludzi i zwierząt. Będziesz tutaj z nami zawsze obecna. To hojny prezent za niego.

Tamta milczy dłużej tym razem, skrobie zamyślona w blachę. Zdaje się, że pomysł ją kusi, więc my wszyscy tutaj wstrzymujemy oddech. Czoło Inanny przytknięte do bramy budzi do życia zimny metal; brama drży,

żelazo zakwita. A obok Inanny znowu ta sama siostra Ogrodnika. Ale jest uparta!

– Weź mnie za niego – powtarza głosem pozytywki. – Weź mnie z muchami, w komplecie, dwa w jednym za tę samą cenę. Macały mnie twoje demony, mlaskały z podziwu, że nie byłam poprawiana, nie mam nawet jednej plomby. Cieszyłyby się z takiego nabytku. Ja chętnie do ciebie przystąpię. Weź mnie, proszę, za mojego brata.

Mija jedna bardzo długa chwila – wszystko nieruchome, powieki nie mrugają, oddech nie śmie wydobyć się z płuc. Nawet płatki śniegu zatrzymują się w powietrzu, przestaje je pociągać ziemia, zanim nie poznają tej odpowiedzi.

– Dobrze – pada w końcu z drugiej strony.

Mówi: Dobrze. Mówi: Na pół roku. Wezmę ją na połowę odsiadki. Pół roku brat, pół roku siostra. I muchy, biorę muchy.

Ja, riksarz, ja, którego nikt nigdy nie słucha, który wozi na swym grzbiecie ludzi, ja każdy, który opowiadam, jestem świadkiem tej dziwacznej sceny. Niewiele z niej rozumiem, ale ta relacja jest moja. Gdyby kiedyś trafiła do annałów, między kartki książek, chcę być w niej obecny.

Inanna przygarnia siostrę Ogrodnika do piersi, gładzi jej włosy.

– Wielka jest twoja miłość do niego. Większa niż moja.

Zamiana

Ja, która tłumaczę sny, ja, Anna Geszti, Gesztianna, wiem, jak są w środku zbudowani ludzie – podobni do miasta – wydają się potężni, rozlegli, wielcy, lecz w istocie są krusi, słabi, składają się z samych dziur, z braków, z pustych przestrzeni; to zamczyska z zapalek. Wątle budowle, prowizorki, niepewne następnej chwili. Cały ich fundament to strach, boją się bólu, starości i śmierci, boją się czasu, boją się własnych ciemności. A każdy z nich w samym środku swojego ciała, w labiryntach mózgu trzyma jedno pytanie, nie do zadania. Bądź odważny, bracie, zadaj mi to pytanie. Odpowiem – tak.

Bardzo proste są moje rachunki, moja Inanno. Mój brat, ten Ogrodnik, zawsze był dobrem kogoś innego. Nigdy nie należał do mnie.

Miasto bez ogrodów – wyobraź to sobie – wyobraź sobie szron rdzy, zgięte palce żelaza, zimne tafle szkła, które odbijają ludzi w postaci duchów, jedyne kolory – z ekranów. Jedzenie w pigułkach: pożywne minerały, sztuczne witaminy. Substancje prawie tożsame, smaki bardzo bliskie, ludzaco podobne zapachy – wszystko na niby. Gdy nie będzie Ogródnika, miasto umrze na głębokie suchoty, na galopującą depresję.

Ostatnio był sobą bardzo przejęty, mój brat, ten Ogrodnik. Każde zdanie zaczynał od „ja”, a potem szło już równo: „o mnie”, „dla mnie”, „moje” i tak dalej. Koniugacje grubości kartki. To przecież chłopiec, nie nadaje się do grobowców. Niczego się tam nie nauczy, przepadnie w rozpaczy, skruszeje, roztopi się z tęsknoty za sadzonkami i klombami kwiatów. A tu wszystko bez niego będzie nie do życia. I tak jest już ciężko. Wiem to, ja każda, ja, Gesztianna, która tłumaczy sny. Często słyszy się w nocy suchy

szelest, głuchy dźwięk ciała, które spada i odbija się od przęseł, od pomostów.

Pójdę za niego, będę drugą zmianą, tą nocną, w fabrykach grobowców; będziemy się mijać w przejściu bez słowa, bo mówić tam nie wolno. Nie wolno się oglądać, patrzeć sobie w oczy. Przejdziemy więc obok siebie ze spuszczonej głowami, w milczeniu, jak ofiary; jak niewinni, którzy jednak poczuwają się do winy. Mamy po połowie życia, zrobmy więc z niego najlepszy użytek. Dlatego ja pójdę. Tam i z powrotem, na dół i w górę.

Gniew Anny In jest złowrogi jak lśniąca broń, jak ostrze noża, pole bitwy, gdzie zaraz zetrą się w proch wrogie armie; jest wielki jak trzęsienie ziemi – niszczy stary rozkład dolin, wzgórz zmienia w niecki, sady w dzikie pustkowia, koryta potoków ustala na nowo, morze potrafi zamienić w pustynię. Lecą w dół kondygnacje miasta, puszczają spawy i pękają śruby.

Straszny jest jej gniew – nieludzki. Tak jak i jej miłość. A jednak potrzebni nam są żywi bogowie, nie martwi. Potrzebni są nam tacy, którzy sięją chaos, do nas należy ustanawianie porządku. Dlatego pójdę.

Ona pierwsza pokazała drogę, wielką ciężką bramę zmieniła w drzwi obrotowe, w takie, co to ustępują ledwie pchnięte palcem. Pół roku w ciemnościach, w grobie wśród zmarłych. Będę ich pytać o sny, o czym śnią, wiedząc, że umarli. Czy znaleźli spokój, może śmierć w pełni ich zadowala. I może właśnie oddychają z ulgą – nie ma się już czego bać, już nie przerażają pusty pokój ani czyjeś kroki na ulicy, w ciemnym zaułku, ani broń wycelowana w czoło, najgorsze groźby, samotność, opuszczenie, ból ciała, głód, śmiertelna choroba, za nic mają wszelkie tortury, ich ciało teraz nie ma nerwów ani receptorów, ani podatnych na zniszczenie tkanek. Powraca do swojej pierwotnej postaci, staje się ciałem z gliny, z prochu.

Zejdę tam i wszystkiego się dowiem. Przeprowadzę badania, wykreślę tabele. Cóż to znaczy umrzeć – zrobię wywiady. Będę potem chyłkiem wynosić te wszystkie ważne informacje, zaszyte w rękawach, grypsy, szyfry śmierci. Co to znaczy umrzeć? Wreszcie się dowiemy. Moja hipoteza brzmi: Nie może być tak, żeby nas nie było. Dlatego pójdę.

Zanim wejdę w ciemny wilgotny otwór grobowców, w towarzystwie much, oglądam się jeszcze za siebie i widzę, że go rozwiązali. Zdjęli mu

z rąk i nóg postronki. Masuje przeguby, w podartej brudnej koszuli patrzy spod oka, jakby go obudzili, wyrwali z najgłębszego snu.

Widok, który oglądam na koniec, jest, niestety, banalny. Ona podchodzi do niego, obejmują się i przytulają. Najbardziej wzruszony jest tłumek niewolników, którzy tu zeszli w poszukiwaniu sensacji: rikszarze, służący na płozach i kółkach, jakieś stare zdezelowane sekretarki, niedługo już pójdą na szmelc. Nasi bohaterowie są tak sobą przejęci, że szybko o mnie zapomną.

Ale nie, ona odwraca się i patrzy. Trwa to dłużej, niż jestem w stanie znieść.

Śnieg zniknie, a oni wrócą na górę, znowu rozbłyszczą lampiony, nie wszystkie zmokły. Przygotowania do festynu tylko na chwilę zostały wstrzymane; teraz dopiero jest prawdziwy powód do świętowania. Piwo chłodzi się w lodówkach, przegryzają się sałatki, oddychają wina, dochodzą do siebie rozpłomienione placki, puchną z podniecenia drożdżowe bułeczki.

Tuż na granicy ciemności, tuż przed zniknięciem, o krok za muchami, ja, Gesztianna, Anna Geszti, oglądam się jeszcze za siebie, jak każdy, kto umiera – i pod moim wzrokiem ta radosna scena, godna pędzla mistrza, kamienieje.



– Powiedz, czy już idzie? – dopytuje się swoich lśniącoookich służących Enki, księgowy, i zerka na suto zastawione bufety pełne pastelowych jogurtów, owoców o wymyślnych kształtach, chlebów, placków, maślanych ciasteczek, konwi wina i piwa, słodczy wszelkiej maści. Sam układał menu.

– Czy już idzie?

O tak, idziemy, idziemy, właśnie winda wypuszcza nas z sykiem wprost na słoneczne pokoje ojców. Czekają na nas, podjadając ze stołów. Nie mogą się powstrzymać. Palce wycierają w krawaty. Małe oliwki znikają w ich wielkich brzuchach, słysząc tylko smutne, odległe „plum”. Na nasz widok podnoszą się z puchatych, trawiastych sof pospiesznie, z miłym uśmiechem.

Oto Inanna, moja przyjaciółka, i ja, Ninszubur, każda, która opowiadam, zaproszone na ucztę bogów. Dziś Inanna jest córką. Ma jasną wesołą twarz, piękny makijaż, jaskrawą sukienkę z haftem przetykanym małymi lusterkami, które ujawniają chaotyczną wielość światów. Wszystko się w nich mieni, trwa nie więcej niż jeden mały moment. Pobrzękują na jej dłoniach i stopach bransolety. Za Inanną bieży walizka, dzwonią wesoło sprzączki. I ja, na końcu, krok w tyle, z koszem na plecach, z wierzbowym kijem w ręku. Oto jesteśmy.

Dziś ojcowie są wyjątkowo serdeczni, jacy mili goście! Składają na czole Inanny czuły pocałunek, klepią ją czule po plecach.

– Dzielną dziewczyną, dobrą dziewczyną. – Chrzękają, kryjąc wzruszenie.

Krążą tace z przekąskami, leje się jasne piwo, złote, królewskie, w koronie z białej piany. Dotknięte boską ręką ciastka ożywają na chwilę tuż przed połknięciem, ale to godna śmierć – w boskim żołądku.

– A więc to prawda, kto by pomyślał. Więc można tam wejść i wyjść. Myśleliśmy, że to niemożliwe, że prawa raz ustalone nie mogą już nigdy ulec zmianie, że nikt się nie odważy...

– Co za niedopatrzenie... – wyrывa się najmłodszemu.

– ...Że wszelkie granice dawno temu ustalone obowiązują na zawsze. Dzień i noc, wysokie i niskie, białe i czarne, życie i śmierć, lewe i prawe. Że ten zero-jedynkowy kod będzie działał na zawsze.

– Oj, napędziłaś nam strachu. Baliśmy się.

– Trzeba teraz będzie zmienić parametry świata, obliczyć nowe równania czasu, nie funkcja liniowa, lecz okrąg, a może elipsa... W każdym razie trzeba nam jutro siadać do pracy.

– Udało ci się to, co niemożliwe. Lecz musisz przyznać, nasze drogie dziecko, że gdyby nie nasza pomoc w najważniejszym momencie, mogłoby być kiepsko.

Wszyscy zgodnie kiwają głowami.

– W imieniu moim i całej naszej rady chcę cię obdarzyć małymi prezentami – mówi księgowy Enki. – Oto masz miasto i władzę w mieście. Górę i dół, windy i trakcje, szybkie chodniki, mieszkania wraz z ich zawartością. Proszę bardzo.

Wręcza jej dokumenty jak dyplomy, wychyla się zza stołu, żeby móc nawet klepnąć ją czule w plecy, potem wznosi kufel piwa w toaście, spija z niego pianę; mocny płyn spływa w jego wielkie ciało, odzywa się stamtąd aksamitną czkawką. Inanna dziękuje, moczy wargi w piwie. Śmieją się z wąsów, jakie piana zostawia na chwilę na jej górnej wardze.

– I postanowiliśmy – ciągnie ojciec – dać ci garść drobniejszych prezentów, praw autorskich, licencji na robienie małych miłych rzeczy. Oto:

zejście do świata podziemnego i wyjście z niego^{me},

sztuka miłości^{me},

pieszczoty ciała^{me},

pieśni i wiersze^{me},
radość serca^{me}.

Najstarszy wyciąga z szuflad pliki dokumentów, popycha je palcem w kierunku Inanny.

– Wezmę je! – mówi moja Inanna. Upycha papiery do walizki, która sapie z przejęcia, rozdziawia się jeszcze szerzej, aż skrzypią zawiasy. Skąd taka zachłanność w zwykłym przedmiocie?

Ale to nie wszystko, piwo widocznie rozcieńczyło już czarną boską krew, bo spływa teraz żwawiej i weselsza jest czkawka.

– Masz jeszcze – mówi księgowy – kilka innych rzeczy:

wydawanie sądów^{me},
podejmowanie decyzji^{me},
elokwentną mowę^{me},
bystrość^{me},
inteligencję^{me}.

– Wezmę je – mówi moja Inanna.

– I proszę bardzo, jeszcze to i to. – Ojciec wyciąga całe stosy papierów, rzuca okiem na tytuł dokumentu i oddaje go córce. – Tawerny^{me}, knajpy^{me}, bazy^{me}.

– O tak, chętnie, obiecałam je już komuś. Wezmę je!

– Prostytucję^{me}.

– Niech będzie. – Inanna łapie papiery w locie, nawet ich nie czyta.

– Świątynie^{me}, Grzeczność^{me}, Podróże^{me}, Rzemiosło^{me}, Skupienie uwagi^{me}, Ustanawianie świąt^{me}, Lęk-Przerażenie-Konsternację^{me}, Rozmnażanie się^{me}, Noszenie broni^{me}, Mądre rady^{me}...

Troskliwy drogi ojciec przebiera w teczkach z dokumentami, ślini palce. Prawdę mówiąc, mógłby to sobie ułożyć według alfabetu. Ogarnęło go chyba jakieś uniesienie. Papiery fruną teraz radośnie, trzepoczą skrzydłami z celulozy.

– Opowiadanie historii^{me}, Porody^{me}, Strojenie instrumentów^{me}, Wychowanie dzieci^{me}, Mądrość starych mężczyzn^{me} i Mądrość starych kobiet^{me}, Waleczność młodych mężczyzn^{me}, Uważność młodych kobiet^{me}, Wrażliwe ucho^{me}, Prawo do buntu^{me}, Nawiedzone miejsca^{me}...

Im więcej piwa, tym więcej^{me} pojawia się w walizce, ta już sapie, przepełniona. Trzeba będzie pomóc sobie sznurkiem. Siedzę z boku, nie tknęłam piwa, nie udziela mi się ta wesołość. Gdy bogowie piją, gdy tracą świadomość, jest z tego jakaś katastrofa.

Miasto już wie, miasto już świętuje. Przez otwarte okna dochodzą aż tutaj radosne hałasy, dźwięk fletów, bębny. Gdy zapada zmierzch, strzelają w niebo smukłe fajerwerki.

Widać je przez wielkie okna, niektóre z nich są soczewkami, można zajrzeć dzięki temu w każdy najmniejszy zaułek miasta – tak, wszędzie świętują.

– Musimy iść – mówię do Inanny, dotykam jej dłoni.

Patrzy na mnie z roztargnieniem, dobrze się bawi. Teraz ona wznosi kolejne toasty. Służący na boku podbierają z pańskiego stołu przysmaki, obserwują to wszystko dosyć obojętnie, dla nich to nieważne, kto zarządza miastem.

– Biorę to, dziękuję – powtarza Inanna. – To także biorę.

– Musimy już iść – upieram się, ciągnę ją za rękaw.

– Tak, jeszcze kilka^{me}, jeszcze to i tamto. – Słyszę, jak się śmieje, pierwszy raz od dłuższego czasu znowu słyszę jej głośny śmiech, wesoły, podoba jej się przyjęcie. Ojcowie także chichoczą, lecz mnie nie jest do śmiechu. Czuję w powietrzu dobrze stłumiony gniew gotowany do miękkości, zmielony i ukryty w pasztecikach, czuję zawód roztrzepany w chrzanowym sosie do mięsa, urażoną dumę w serze przekłutym wykałaczką, ozdobionym kaparem. Zapewne się mylę. Na nic się tu nie zda żadna analiza, bogowie nie mają przecież wewnętrznego życia, żaden psycholog nic tu nie pomoże; co na górze jest, jest i na dole, co w środku –

staje się na zewnątrz – oto cała prawda. Żadna Anna Geszti nie wytłumaczy boskich snów. Co się śni bogom? Świat. Wytłumacz nam świat, Gesztianno.

Nie mogę dopiąć zamków walizki, obwiązuję ją więc szarfą, którą ściągam z włosów. Obwiązuję ją ciasno i muskam dłoń Inanny. Musimy już iść.

Widzę, jak zegnając się z nią, Enki przyciąga jej głowę do siebie i szepcze jej w ucho z trudem, bo jego język stracił nagle giętkość i ledwie bełkocze.

– Jak to jest umrzeć? – pyta. – Powiedz, jak to jest, gdy się umarło, co to znaczy? Co to znaczy: nie ma?

Wracamy nad ranem przez puste pomosty, wiozą nas windy, w dół do ludzi. Pełno w windach kolorowych śmieci, papierowych kwiatów, nieświeżych oklapłych balonów, łusek po petardach. Z daleka dochodzi dudnienie muzyki, flety, bębny, dzwonki. Miasto bawi się od kilku dni, od powrotu Inanny. Ale to dopiero początek festynu.

– Powiedz ludziom, mieszkańcom miasta, żeby nie kładli się dziś spać, niech wstają, niech bawią się dalej, zwołaj ich, pokażę im^{me}. Niech zejda się na główny trakt, na platformy, pokażę im, co mamy – prosi Inanna białego riksarza, który ciągnie za nami, niesyty tryumfu. Jego kółka wygrywają na spojeniach chodnika skoczne rytmy. Lecz w tej samej chwili dobiega nas hałas: oto pędzą za nami służący ojców, ci lśniący, na szybkich płozach, teraz widzę, że są uzbrojeni. Oślaniam Inannę, wyciągam przed siebie ręce i tym ruchem hamuję ich impet.

– Co się stało? – pyta moja Inanna, moja Anna In. – Czy czegoś zapomnieliśmy? Czy nie dopełnieliśmy jakichś rytuałów? Nie zjadliśmy, nie dopiliśmy piwa?

Ale nie. Nie o to chodzi. Służący chrzestczą płozami, grzechoczą, skonsternowani. Chodzi o to, że ojciec, kiedy oprzytomniał trochę, spojrzał na swoje puste szuflady:

– Podejmowanie decyzji^{me}? Tawerny^{me} i knajpy^{me}? Grzeczność^{me} i podróże^{me}? Gdzie to jest? Gdzie się podziały? – zapytał.

Służący struchleli.

– Przecież dałeś to wszystko, drogi ojciec, Inannie.

– Ustanawianie świąt^{me}? Noszenie broni^{me}? Mądre rady^{me}? Gdzie to się podziało? – krzyknął.

– Oddałeś to wszystko Inannie.

– Świątynie^{me}? Inteligencję^{me}? Eloquentną mowę^{me}? – zapytał z niedowierzaniem, wciąż jeszcze otumaniony od oceanów piwa.

– Oddałeś je – powiedzieli.

Wtedy kazał im biec za nami, zawrócić. Wznówić negocjacje – tak się wyraził. W razie czego użyć broni.

Już się zbiera ciekawski tłumek rozbawionych ludzi, przysłuchuje się tej opowieści. Ich wzrok jest wprawdzie nieostry od piwa, ale patrzą uważnie. Czapki i maski, szczudła, przyklejone nosy, cyganki, tancerki, rycerze i książęta, ludzie owce, wilki i żyrafy – słuchają wymiany zdań.

Więc ja, każda, która opowiadam, wezmę na siebie pierwsze uderzenie, jeżeli nastąpi. Wysuwam się do przodu, jeszcze jeden krok w stronę sług, zasłaniam Inannę i pękata walizkę, która piszczy z przejęcia. Pokazuję lokajom puste dłonie i kosz na swoich plecach. Wskazuję go palcem, kciuk kieruję za siebie, jakby stało tam za mną wielkie wojsko gotowe do bitwy. O, i nawet przez chwilę wydaje mi się samej, że słyszę szcęk tarcz, brzęk pik i oszczepów, skrzypienie skórzanych kabur i pisk wózków, w których jak niemowlęta drzemią cekaemy.

Tu powinien wreszcie być już koniec tej historii. Zaszliśmy w niej wszyscy już bardzo daleko. Jestem zmęczona. Mówię powoli, jakbym recytowała dawny wiersz z dzieciństwa:

– Ojciec, który zmienia swoje raz dane słowo, łamie obietnice. Daje i zabiera. Obdarza, a potem tego żałuje. Stanowi prawo, a potem je podważa. Cóż to za władca? Byliście świadkami, widzieliście. Czy można cofnąć dane słowo? Dał Inannie wszystkie^{me}, a ona niesie je ludziom. Nie da się już zawrócić z tej drogi. Tak mu powiedzcie.

Tłum przebierańców jest po naszej stronie, szumi gniewnie, przytakuje:

– Ma rację! Co to za ojciec, który daje, a potem chce odebrać.

Biedni lśniacoocy czują się nieswojo, przestępują z nogi na nogę, z płozy na płoze, coraz mniej groźni, zawstydzeni; pobrzękują żałośnie swoim

oreżem – wężami do wody, kurkami, miotełkami, szczypcami do lodu, końcówkami mikserów.

Wtedy jakiś wymięty magik, w czarnym smokingu i czarnym cylindrze, obsypany złocistymi płatkami konfetti, odzywa się z tłumu:

– Dajmy temu spokój. Chodźcie wszyscy z nami, szkoda czasu, jest festyn!

Wahają się lśniący, cmokają z przejęcia. Już jeden robi krok naprzód, ale drugi go ciągnie z powrotem za połę liberii. Szemrzą ich szeregi, a potem nieuchronnie łamie się prosta linia, roztapia porządek. Niczym wielki okręt wpływamy do miasta.

Inanna

Oto jest główny pomost miasta, wiszący ogród widoczny z wielu stron, metalowe serce. Tutaj Ogrodnik posadził najpiękniejsze rośliny o wielkich liściach i grubych łodygach. Oto lampiony, ich łagodne światło naśladuje gwiazdy, ściąga je na ziemię. Oto Ogrodnik, biel jego koszuli, niewinna, i drobna Ninszubur z walizką na smyczy. A oto i Inanna – jej mocne ramiona są wzniesione, smukły dzban, w który wlewa się siła. Oto ludzie, kolorowy tłum, który gęsto obstawił wszystkie przesła, chodniki, perony i mostki, i oto ja, Enhuduanna, kobieta z hamamu, każda, która zapisuje, która lepi z gliny pamięć.

Tak cię zobaczyłam, Anno In, In Anno, Inanno, z ramionami wzniesionymi wysoko w geście tryumfu. Tak cię widziałam – rosnącą z żelaza, ze stali, z kamiennych pustyń, z rozgrzanych piasków, wielką i radosną panną o nagich piersiach, smagłoskórą matkę, śmiejącą się siostrę, nastolatkę w jej różowym pokoju pełnym lalek, mądrą córkę o włosach ciasno splecionych w warkocze, żonę dumną z mocy swoich bioder, mocną i czułą, opiekuńczą, i małą dziewczynkę. Starą kobietę, która karmi stada dzikich kotów pod domami, która mówi do roślin. Widziałam twój gniew, twoją gwałtowność. Widziałam, jak śpiewasz, jak płaczesz, jak krzyczysz i szepczesz, widziałam, jak burzysz. Widziałam, jak zbierasz to, co rozsypane, i to, co zmieszane z popiołem – nasiona grochu, korale, które potoczyły się z zerwanego sznurka. Widziałam, jak wyruszasz w drogę i zostawiasz na poboczu drogi kolejne pary zdartych butów. Jak wędrujesz przez lodowe pałace w poszukiwaniu ukochanego. Widziałam, jak szukasz i jak odnajdujesz, jak upadasz i jak się podnosisz, ścierasz się w proch i odradzasz w twardym kamieniu. Widziałam, jak niesiesz pochodnię, jak niesiesz żałobę. Jak drzesz płótno na bandażu.

Widziałam, jak prowadziłaś do walki, jak łamałaś strzały ze stali jednym ruchem ręki, jak bali się twojego krzyku. Widziałam, jak podtrzymywałaś za ramiona rodzące kobiety, jak ścierałaś noworodkom krew z czoła, jak obdarowywałaś nowo narodzone dzieci. Twoje domy z kości w lasach Północy, twoje piece chlebowe, twoje samotne ślady w piasku na pustyni, twoje szczyty gór, twoje doliny, twoje strumienie, mętne stawy, lepianki, miotły, twój taniec brzucha, odkryte piersi, twoja krew, twoja ciemna twarz z blizną biegnącą przez środek policzka.

Biec, uciekać, uciszać i uspokajać – są twoje. Wędrować, spieszyć, wstawać i upadać – są twoje. Rozpinać na ziemi drogi i ścieżki, wytyczać miejsca odpoczynku w podróży, spokojne – wszystko to jest twoje. Poruszać ziemię i na powrót czynić ją stabilną – są twoje. Niszczyć, budować, wymazywać z map i projektować miasta – są twoje. Zmieniać mężczyznę w kobietę i kobietę w mężczyznę – są twoje. Pożądanie i podniecenie, dobra i mienie – są twoje. Zysk, profit, bogactwo i bankructwo – są twoje. Patrzenie, podejmowanie decyzji, przyzwolenie i kontrola – są twoje. Analizowanie i na powrót składanie w jedno – są twoje. Miłosierdzie i litość – są twoje. Cnoty męskie i kobiece, godności, aniołowie stróżowie, bóstwa opiekuńcze, kościoły i świątynie – są twoje. Skwery i parki, uczelnie i biblioteki. Zapisane strony, te, które czekają na zapisanie, i te, które spłonęły, nieodczytane. Litery, słowa, zdania i akapity. Ludzkie pary, przyjaźnie, siostrzeństwo i braterstwo – są twoje. Zejście się i rozejście – są twoje. Budowanie domu, kobiecy pokój, zawartość szaf, szuflad, całowanie dzieci w policzek. Zaniechanie i troska. Prostowanie się i zginanie. To, co pełne nadziei, i to, co daremne. Zamiana tego, co silne i brutalne, w słabe i bezsilne – są twoje. Odwrócenie tego, co słabe i bezsilne, w to, co mocne i brutalne – są twoje.

Ścigać się, pożądać i zdobywać – są twoje. Zmniejszać, zwiększać, zniżyć, poszerzać, zwęźać – są twoje; nadawać godności, pisać instrukcje obsługi, zniesławiać, kłamać i przeinaczać, drwić, przedrzeźniać, przesadzać – są twoje. Prawdziwa i fałszywa odpowiedź, mądre i głupie pytania. Brak odpowiedzi. Szyderstwo, groźby, gwałtowny uczynek, rozśmieszanie i zasmucanie, zły fart i żałoba. Oświecanie i zaciemnianie, konflikt i pokój, strach i splendor, tryumf i choroba, bezsenność i zmęczenie, poddanie się i zwycięstwo, walka, ta wygrana i ta przegrana.

Piasek

Nic nie zachowa swojego kształtu. Każdy porządek okaże się nietrwały – i boski, i ludzki. Miasto w końcu skruszeje, rozpadnie się w drobne fragmenty, cząstki, okruchy, z których nie da się już odczytać całości; przysypie je piasek pustyń, miliardy nasion przyszłości.

Ludzie, jacy z nich wykiełkują, na nowo nawiążą czułą zależność od świata – od pogody, wiatru, słońca, księżyca i mgieł. Zaczną na Północy wznosić inne miasta. Znowu ocknie się rozum, ten przemądrzały, ten zupełnie wyłączony ze wszelkiego szeptania, i – niczym głuchy jak pień senior rodziny – z osobliwą pewnością siebie stworzy nowe teorie i wymyśli tabletki, na strach i niepokój, lecz nie na śmierć, Inanno.

Od autorki

W pisaniu tej książki korzystałam z następujących źródeł:

Przede wszystkim z ogromnego zbioru wciąż jeszcze tłumaczonych na angielski tekstów z tabliczek klinowych; o ile wiem, jest to największa biblioteka tego rodzaju dostępna w Internecie – *The Electronic Text Corpus of Sumerian Literature*;

z pięknych polskich tłumaczeń Krystyny Szarzyńskiej (*Mity sumeryjskie*, Wydawnictwo Agade, Warszawa 2000);

z pracy napisanej wspólnie przez odkrywcę i tłumacza wielu tekstów sumeryjskich, Samuela Noaha Kramera, oraz mitografkę, jungistkę, Diane Wolkstein (*Inanna. Queen of Heaven and Earth*, Harper and Row Publishers, New York 1983);

z monografii na temat „pierwszej autorki świata”, Enhuduanny, pióra Betty De Shong Meador (*Inanna. Lady of Largest Heart*, University of Texas Press, Austin 2001)

oraz z tekstów Karla Kerényiego, którego wiedza, erudycja i geniusz syntezy budzą od dawna mój wielki szacunek i podziw.

Dziękuję też Kindze Dunin, Alkowi Radomskiemu i Zbyszkowi Kruszyńskiemu za lekturę pierwszych wersji i mądre uwagi.